Nr. 40. Warszawa, dnia 23 Września (6 Października) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DOM W PŁOMIENIACH.

Krytyka jest łatwą, trudnym czyn. Wolno było ganić p. Koerbera, nie wiedząc nawet, czy on to sam jest sprawcą patentu z d. 7 września; ale niepodobna będzie ani dziś, ani jutro dowieść, że rządowi przedlitawskiemu, naciśniętemu przez stronnictwa, zostawało cokolwiek innego do zrobienia, prócz rozwiązania starej Izby i odwołania się do nowej. Nietylko rozsądek praktyczny, ale i poszanowanie wolności politycznej nic innego, prócz patentu rozwiązującego nie narzuciłyby, nietylko ministrowi przyjętemu jedynie do posług, na krótko, jakim jest p. Koerber z kolegami swymi, ale i najsamodzielniej nawet, najtrwalej w grunt wrosłemu, jakim byłby np. nieboszczyk Taaffe, gdyby dziś już z wysokości niebios nie przyglądał się radosnym skutkom swej mądrej, przez piętnaście lat uprawianej ekwilibrystyki. Spełnionemu czynowi nie odejmie niezbędności nawet klęska, nawet wyrzucenie przez otchłań ludów austryackich Izby gorszej jeszcze od tej, która była już bardzo złą. Rząd obecny, myśląc o niej, jak o straszydle, gdy pewności mieć nie mógł, rzucał się w niepewną grę losową: i w tem również nie zbłądził, bo jeżeli polityka jest rachunkiem prawdopodobieństwa, jest także i loteryą; ma swoje stawki i przegrane, ale ma także i wielkie losy.

Ruch wyborczy rozpoczął się niezmiernie wcześnie, na dwa miesiące i więcej przed terminem wyborów. Namiętności nie czekały: pilno im było do walki; wygnane z Izby wpadły zdyszane w naród, w lud, w pospólstwo polityczne Austryi. Usypały już całe góry kłamstw, pochlebstw i obietnic i przysiąg: aż jęczy powietrze od tej politycznej mądrości i człowieczej cnoty; nieuchronne przy naturze ludzkiej podawanie czarnego za białe i białego za czarne, płacenie liczmanami, fałszowanie monety, samochwalstwo w interesie indywiduum i gromady, nienawiść ku przeciwnikom, wskazywanie jedynych dróg ratunku i zbawienia, terapia nakazująca aplikować to ogień, to lód, chirurgia dla wycięcia wrzodu nielękająca się przykładać noża do szyi, wypruwać arteryj i żył — wszystko już tam jest i wszystko być musiało, bo we wszystkiem jest człowiek i z niego też wszystko to paskudztwo wychodzi. Czego tylko niema, czego dotychczas jest bardzo mało, to krzyku „gore,“ to wołania, że gdy dom się pali, dom wszystkim wspólny, trzeba przedewszystkiem o jego ocaleniu myśleć, nie rwać się za łby, nie przyskakiwać do siebie z pięścią i nożem, nie tracić czasu na okadzanie się i upajanie dymami kadzideł; bo kłęby płomienia i dymu z pożaru wystarczają do zaduszenia wszystkich, a gdy na karki barde głupotą, niezłomne egoizmem, runie pułap i wiązanie dachowe, nic czas już będzie uciekać. Uciec zresztą jeszcze się uda, ale skąd wziąć dom nowy, gdy ten, czterdzieści lat temu przez Gołuchowskiego w fundamentach i nad fundamenty wzniesiony, wykończony przez Beusta, dwukrotnie przerabiany przez Niemców, stanie się tylko kupą rumowisk i zgliszcz?

Ktokolwiek zwycięży: Czesi, czy Niemcy — Austrya pochyli się do upadku. Czesi swojem prawem historycznem i obstrukcyą tak samo ją osłabią i w śmiertelną chorobę ją wpędzą, jak Niemcy swojem „Wacht am Rhein“ — „Deutschland, Deutschland über Alles“—i także obstrukcyą. Monarchia austryacka, ani w zewnętrznem, międzynarodowem życiu jako mocarstwo, ani w wewnętrznem, konstytucyjnem jako państwo, nie znajdzie dla siebie ocalenia, dopóki walka dwóch zapaśników na arenie dla niej będzie patologicznym procesem, jakim jest dotychczas, jakim nieuchronnie stanie się na nowo po nowych wyborach, jeżeli w nich nie zatętni ten zmysł zachowawczy, na który zdobyć się nie mogła dotychczasowa Izba. A to „jeżeli“ jako postulat lepszej przyszłości jest dotychczas niewidzialnym, rozwiewnym, niepochwytnym jakimś eterem — wielkością prawie urojoną. Owszem, zanosi się nawet na coś gorszego, niż to, co było dotychczas. Niemcy liberalni morawscy, czescy, austryaccy i styryjscy wręcz żądają wpisania przymiotu z ces. Niem. do księgi gruntowej austryackiej, do praw konstytucyjnych, nie samej tylko Przedlitawii, ale całej monarchii — czyli dopominają się unii z Niemcami już konstytucyjnej; a Czesi wyładowując swoje prawa historyczne w odezwie wszechpotężnego stronnictwa młodoczeskiego — tłuką formę istnienia Przedlitawii, jak stary, przepalony garnek. Niemcy nie chcą Austryi, bo chcą Niemiec; Czesi nie chcą Austryi, bo chcą korony św. Wacława.

Z płonącego domu każdy rwie, co może, swoje i nieswoje — każdy wynosi co porwał: dom sam niech dyabli porwą.

A przecież, gdyby go nie było, trzebaby go umyślnie zbudować: tak jest niezbędnym dla dzisiejszych jego mieszkańców, jeżeli ci chcą mieć dom własny i na obcych podwórzach nie być biblijnymi Gabaonitami, znoszącymi drwa na cudze ogniska i z cudzej jedzącymi misy—strawę odejmowaną psom. Jedni tylko Niemcy czescy nic nie stracą na upadku Austryi: mają odrazu gotową ojczyznę i odrazu też nałono jej spadną. Ale właśnie z tego szczęśliwego położenia Niemców Schönerera i Wolffa, Irona i Türcka — wypada na Czechów krzyk straszliwy, otrzeźwiający ich i z praw historycznych i z obstrukcyj żakowskich i z wszelakich ruchów i drgnień odśrodkowych — krzyk śmierci, którego oni jednak mogą nie posłyszeć i nie usłuchać. Bo jeżeli Niemcy urzeczywistnią swe marzenie i w sprzymierzeńcu serdecznym Austro-Węgier znajdą starszego brata, wyzwalającego ich z piekła czesko-morawskiego, będzie już koniec z Czechami: dzisiejsze znęcanie się nad Poznańskiem i Szlązkiem okaże się słodką tylko cavatiną przy wściekłym chórze, który zorganizuje ojczyznę niemiecką na Morawach i w Czechach — aby narodowość czeską wytępić. Będzie teraz gorzej, niż było po Białej Górze. Wiek wykwintnej zdumiewającej kultury, sroższym być potrafi od wieku rozpasanej dzikości wojen religijnych XVII w. — z Czechów zostaną zaledwie kosteczki. I Niemcy arcyksięstw, Styryi i Tyrolu dziś już powinni dbać o życie przy każdej myśli o przewrocie, który przyjść może jutro. Najsilniej dotychczas instynkt zachowawczy odzywa się w Galicyi, ale nie we wszystkich. Stronnictwo p. Daszyńskiego jest jakby znowu gotowe do ruszenia na szaniec, ramię w ramię z Niemcami: zdaje się ślepemu, że będzie miał lepszą drogę przez kładkę nad przepaścią, niż po poziomie elementarnego prawa i elementarnego też obowiązku. Najrozsądniejszem i najżywotniejszem z dotychczasowych haseł jest: „federalizm“ hr. Harracha; ale nie pochwycone przez innych, może się ono okazać spóźnionem — nie bez winy galicyjskich mężów stanu, galicyjskiego Koła, galicyjskiej biegłości w polityce i galicyjskiej też ślepoty i niedołęztwa. Z Węgier głos Aponyiego przynosi dobry powiew rozsądku, chłodnej rozwagi: Węgry nie spekulują na upadek Austryi; ale to pewna, że w miarę zanikania Przedlitawii środek ciężkości do nich przenosić się musi. A tymczasem dom płonie i jeśli go nie uratują narodowości i stronnictwa — o ratunku pomyśleć, do ratunku zabrać się będzie musiał — § 14.

Tydzień polityczny Cesarz chiński wystosował do cesarza niemieckiego list uderzający prostotą wyrażenia, wzruszający momentami uczuciowymi dla przebłagania nieprzyjaciela za Kettelera. Cesarz niemiecki odpowiedział, że ofiary pośmiertne chińskie chrześcianinowi europejskiemu nie wystarczają: potrzebna jest kara. Niemcy chcą koniecznie Tuana. Li-Chung-Czang powołuje jego krew na stwierdzenie niemożliwości wydania. Sędziwy polityk zatrzymał się w Tien-tsinie na Walderseego, który d. 27 z. m. zawinął do Taku z Szang-haju. Tego samego dnia p. Giers zatelegrafował, że wyrusza z Pekinu nad morze. Stany Zjednoczone wycofują się, zostawiając tylko straż stałą, pułk piechoty, pułk jazdy i parę dział. P. Delcasse w okólniku stwierdza konieczność ukarania przestępców, powrotu cesarza do Pekinu, wynagrodzenia i jako najlepszy środek zachowania niezawisłości chińskiej zaleca „niepozwalanie Chinom na nadużycie siły militarnej,“ czyli rozzbrojenie. Chiny i siła militarna; p. Delcasse i logika; oryginalność pomysłu i — wąż w zanadrzu. Minister francuski „upoważniony jest do oświadczenia, że „Rosya najzupełniej podziela jego opinię.“ Sprzymierzeni wyruszyli na zdobycie Szan-hai-kuan już nad zatoką Liaotong na zachodo-południe od Niu-czuangu, zajętego parę tyg. dni temu przez wojska rosyjskie; doniesienia o zdobyciu niema; może wcale nawet do działań nie przyszło.

Zatarg rumuńsko-bułgarski, bardzo ostry, niewątpliwie krzywdę Rumunów wykazujący, Europa załagodziła.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWY TYP.

Szybki, gorączkowy rozwój życia społecznego i ekonomicznego wywołał w ostatnich latach pewien przełom w zakresie szkolnictwa. Zaczęło ono coraz bardziej demokratyzować się i zastosowywać do potrzeb życia. Już dziś szkoły nie powstają tu i owdzie na oślep, lecz są wytworem warunków i potrzeb danej dzielnicy państwa. Pozostały jednak dość ważne anachronizmy w tej mierze, przedewszystkiem zaś — centralizacya szkół wyższych. W ostatnich czasach sfery właściwe zwróciły uwagę na ten system bardzo uciążliwy dla wielomilionowej ludności olbrzymiego państwa. Słusznie mówił jeden z publicystów rosyjskich: „Czyż to nie dziwne, że w mieście, zbudowanem na *błocie*, znajduje się instytut *górniczy*, że tam, gdzie wieczne mgły panują, istnieje akademia sztuk pięknych, wymagająca barw żywych i różnorodnych!“

Młodzież z najodleglejszych krańców państwa dąży do głównych ognisk nauki uniwersyteckiej lub do wyższych specyalnych zakładów naukowych. W takich warunkach traci ona dużo czasu i energii w pogoni za zarobkiem i w walce z drożyzną wielkomiejską.

Na Zachodzie już dawno zerwano z centralizmem w szkolnictwie. Niemcy np. nawet w małych miastach posiadają uniwersytety lub inne szkoły wyższe. To też tam nauka zdobyta łatwe znajduje zastosowanie w życiu, a młodzież miejscowa bez wysiłków i walk jałowych może się oddawać studyom. Jak wiadomo, istnieją za granicą specyalne zakłady naukowe, których

Jan Augustynowicz.

W CIENIU.

Tlejącym i pełnym niewysłowionej melancholii był poważny park w Zalesińcach. Ciężkie niebo rozpostarło się jak płachta nad światem i zawisło zgorzkniale i smutne. W wilgotnem powietrzu unosił się mętny jakiś opar, w całem przestworzu leżała omdlała, niema martwota. Był to jeden z tych dni jesiennych, kiedy dusza zdaje się uciekać gdzieś z dzikim krzykiem w przestrzeń, lub jak ptak spłoszony i drżący zaszywa się w najtajniejsze głębie. Taka niemoc i tak bezdenny smutek opanowały całą naturę, że nawet zblakłe liście, lękliwie trzymające się jeszcze drzew, chciały odlecieć od nich, zda się, jaknajprędzej, by szukać u matki-ziemi spokoju wiecznego śmierci. I nawet ptak nie zerwał się z gałęzi, nie zaświergotał żaden... Cisza nudna i rozpaczliwa ogarnęła wszystko.

Trawa na gazonach, po bokach alei i dróżek, choć nie żółta jeszcze, skurczyła się w sobie, zgięła. Była cała mokra, nie od tej rosy jednak, jaką okrywa się każda roślina w przeczysty poranek majowy, tchnący niewyrażoną świeżością wiosny, lecz od zgniłej jakiejś wilgoci, nagromadzonej nie wiadomo skąd, wciskającej się z uporem w każde źdźbło nieledwie. Żwir na starannie utrzymanych drogach był jakby zrudziały, piasek, którym posypano węższe ścieżki, brudny. I nic nie przypominało letniego wyglądu tego parku, gdy nakształt młodej dziewczyny świeżością tchnął i urokiem. Starzec to raczej teraz już zgarbiony i zmęczony, z goryczą w swym niepokoju zastygły. I tylko chłodem, tylko pustką wieje od niego, w skrytych czeluściach, przysiągłbyś, odgłos płaczu się rozlega... Hej! Straszna, piekielna tęsknota rwie tam i szarpie wszystko, a ni słońca, ni życia już nie masz!

Pan Bożysławski siedział na ławce pod kasztanem. Przed nim rozlegała się niknąca gdzieś w dali perspektywa wielkiej poważnej alei, za plecyma jego kłębił się cały las młodych, a już steranych krzaków. Głowę miał opuszczoną, podpartą na wychudłych, przezroczystych rękach i tonął w ponurej zadumie.

Dziwnie mu dzisiaj było na duszy i doskonale do tego wewnętrznego jego nastroju pasowały posępność i chłód natury. Jakaś pełna ironii i bolesna harmonia zapanowała między nim a wszystkiem, co go tu otaczało. I nic nawet nie starało się jej zepsuć, bo jak w przyrodzie, tak i w nim całym była teraz jedna tylko granicząca z bezwładnością gorycz...

Przez głowę snuły mu się roje myśli — tyle, tyle myśli! Jedna rodziła drugą, wiły się pasmem nieprzerwanem i uciekały gdzieś w dal, ustępując miejsca innym... A on chwytał je, by wtłoczyć napowrót do mózgu i zgrupować wszystkie — aż do ostatniej.

Dzisiaj rano otrzymał list, arkusz papieru w białej sztywnej kopercie, na którym wypisano te słowa: „Kochany Edwardzie! Zenia wyjeżdża jutro do Paryża. Jeżeli chcesz, przyjedź dzisiaj do Zalesiniec. Może pragnąłbyś się z nią pożegnać...“

Pisała to stryjenka Joanna, u której Zenia Tolchowiczówna już od dłuższego czasu bawiła.

Zenia... Smukła, wysoka panna z obliczem Madonny, z głębokiemi jak toń oczyma, z kruczymi, od czoła do pół-uszu zaczesanymi włosami i z rękoma filigranowemi, prawdziwie kobiecemi... Spokojna i poważna dziewczyna, na której czole w najweselszych nawet chwilach błąkał się cień, jakby smutku, z której wzroku przebijała zaduma...

Taka serdeczna, prosta, a królewska... Tak potrafiąca przykuć do siebie uwagę nietylko wdziękami swymi fizycznymi...

„...Jeżeli chcesz, przyjedź dzisiaj do Zalesiniec...“

Oto jest. Przyjechał.

...jutro wyjeżdża do Paryża.“ Do Paryża...

Uśmiechnął się gorzko, a serce jego przeszył dojmujący ból. Nigdy więc już nie rozsłoneczni się tu w Zalesińcach tak, jak się rozsłoneczniło dotąd, ciężka i ponura pustka owładnie tu znowu wszystkiem...

Wie jedno, wie niezłomnie: pójdzie, musi iść precz jak najdalej stąd, gdzie jakieś

olbrzymim warsztatem praktycznym jest grunt miejscowy. Tam, gdzie się rozwinęła dana gałąź przemysłu, powstały szkoły specyalne, a ich uczniowie odbywają studya praktyczne w pobliskich fabrykach i zakładach przemysłowych.

U nas dotychczas powstały tylko dwie szkoły na miejscu, jako wynik potrzeb życia: łódzka i górnicza w Dąbrowie. Dopiero w ostatnich czasach sfery właściwe zaczęły badać tu i owdzie warunki miejscowe, ażeby stworzyć tam odpowiednie środki kształcenia młodzieży. Chodzi tu nietylko o szkoły wyższe, lecz średnie, któreby zdecentralizowały naukę i tym sposobem dały możność łatwego jej zdobycia i zastosowania w życiu. Taka atoli praktyczność jeszcze nie jest doskonałym środkiem kształcenia. Młodzież fachowa nie może odgrywać roli kółek, szrub lub tłoków w maszynach. Musi ona jeszcze mieć pewien zasób inteligencyi nietylko dla przemysłowców, lecz i dla siebie. Trzeba tedy stworzyć taki typ szkoły, którąby odpowiadała owym potrzebom. Coś w tym rodzaju miał właśnie na myśli p. Anopow, zarządzający oddziałem szkół przemysłowych ministeryum oświaty. Wysłany jako delegat do gubernij: Wołyńskiej, Podolskiej, Besarabskiej i Chersońskiej, zbadał warunki miejscowe celem obmyślenia najodpowiedniejszego typu szkoły dla danych dzielnic. Owocem tych badań jest osobna praca delegata, w której rozwija on swój projekt nowego typu szkoły średniej ogólnie kształcącej i zarazazem praktycznej, o charakterze realnym. Całkowity kurs, zamknięty w ośmiu klasach, obejmowałby o wiele szerszy zakres, niż obecne szkoły realne. Do programu wchodzą pewne gałęzie nauk przyrodniczych, które w danej prowincyi mogą mieć zastosowanie praktyczne, matematyka stosowana (mechanika i zasady budownictwa), rysunek, praca ręczna w najszerszem znaczeniu, ażeby uczniom dać możność nietylko przyswojenia pewnej sumy wiedzy, ale także utrwalenia jej przez ćwiczenia fizyczne. Wobec takiego programu trzebaby było znacznie zmienić nietylko plan przedmiotów ogólnie kształcących, ale także inaczej podzielić je na klasy, jak to uczyniono w przekształconej szkole łódzkiej 1899 r. Wogóle program projektowanej szkoły p. Anopowa jest następujący: 1) religia. 2) język rosyjski, 3) jeden z języków nowożytnych, 4) geografia, 5) historya, 6) matematyka z dodatkiem (rozwiązanie zadań praktycznych), 7) historya naturalna, 8) fizyka i elektrotechnika, 9) chemia, 10) mechanika wraz z dodatkami (zasady wytrzymałości materyałów, opisy mechanizmów specyalnych), 11) technologia mechaniczna i fizyczna (w zastosowaniu do warunków miejscowych), 12) geodezya niższa, 13) budownictwo (rysunki, kaligrafia). Zajęcia praktyczne w warsztatach szkolnych i laboratoryach. Praca ręczna (kl. I, II i III), z szeregiem systematycznych zajęć praktycznych po za klasą, które są uzupełnieniem wykładów historyi naturalnej (w szerokim zakresie), geografii, fizyki itd. Wreszcie sztuki: śpiew, muzyka; gimnastyka pod postacią gier przeważnie na świeżem powietrzu.

Wogóle projektodawca układa przedmioty szkolne w ten sposób, ażeby uczniowie mogli szczerze się nimi zainteresować, nie obarczając swych sił pracą nadmierną i żeby po wyjściu z klasy nie potrzebowali się mozolić w domu. W zasadach zajęć pozaklasowych tkwi myśl następująca: Ideałem wykładów powinny być takie, które pozwolą uczniowi opuszczać klasę z zupełnem przygotowaniem się do odpowiedzi. Systemy dzisiejsze wcale na to nie pozwalają. Co gorsza, uczeń siedzi w klasie z tą przygnębiającą myślą, że po powrocie do domu czeka go praca mozolna nad przygotowaniem lekcyj. Wadliwość, sztywność, suchość wykładów robi to, że przedmioty prześlizgują się przez umysł, nie dadzą się pochwycić i utrwalić w mózgu.

System p. Anopowa przeważnie polega na wykładach poglądowych, utrwalających wszelkie przedmioty w umyśle i ułatwiających przyswojenie. Uczniowie na każdym kroku mają możność, że tak powiem, uplastycznienia wiedzy zdobytej, mianowicie przystosowują wiedzę teoretyczną natychmiast w praktyce: czynią doświadczenia, badają wszelkie zjawiska w naturze, zbierają i układają wszelkie kolekcye, wyrabiają przyrządy, niezbyt skomplikowane a potrzebne w różnych wycieczkach naukowych. W ten sposób uczniowie będą się zapoznawać z życiem i oceniać owocność swej pracy, która ich zajmie i pociągnie, bez uszczerbku sił, bez nadwątlenia zdrowia pracą forsowną, nużącą, pełną utrudnień wszelakich, jak się to dzieje obecnie w szkołach wszelkiego rodzaju.

Ażeby dojść do pożądanych wyników, zdaniem p. Anopowa niezbędne są warunki następujące: 1) kursy przedmiotów wykładanych nie powinny być przeładowane; 2) wykłady te powinny mieć ścisły związek z życiem; 3) przewodnicy młodzieży muszą mieć czas dla niej także za szkołą. Ażeby ten warunek przeprowadzić w życie, projektodawca proponuje wciągnąć zajęcia pozaszkolne do obowiązkowych, a więc i czuwanie nad niemi nauczycieli musi być obowiązkowe. (Za to nauczyciele mają pobierać płacę dodatkową).

Szkoła p. Anopowa właściwie nie jest specyalną. Nosi ona trochę przydługą nazwę: „szkoła średnia ogólno kształcąca z zastosowaniem zajęć praktycznych.“ Celem jej jest przygotowanie młodzieży do pracy wszelkiego rodzaju, tj. do wytworzenia armii pracowników średnio wykształconych tej kategoryi, której wielki brak daje się odczuwać wszędzie. Dzięki obrazowości wykładów, tj. ilustrowaniu za pomocą zajęć praktycznych, egzaminy będą zbyteczne, gdyż w każdej chwili przenikliwi i uważni pedagogowie będą mogli sprawdzić zdolność uczniów i stopień przyswojenia danych przedmiotów. Natomiast czas i siły, niepotrzebnie trwonione na egzaminy, będą wyzyskane w pracy pozaklasowej na świeżem powietrzu, na wycieczkach itd.

Prawa i przywileje wychowańców szkoły nowego typu mają być następujące: Co do powinności wojskowej, szkoła ta stanie na równi ze szkołami średniemi ministeryum oświaty, tj. gimnazyami i szkołami realnemi. Dla ukończenia studyów uczniowie powinni korzystać z odroczenia do 24 roku życia, tak samo, jak w średnich szkołach technicznych. Można przypuszczać, że tylko niewielka liczba kandydatów, po skończeniu studyów, podąży do wyższych szkół specyalnych. Bez względu jednak na to wychowańcy owi powinni mieć wstęp ułatwiony do tych zakładów wyższych.

Głównem zadaniem szkoły nowego typu, jak rzekliśmy, ma być wytworzenie

---

serce zabiło może dla niego goręcej, gdzie mógł ukoić umęczoną duszę i znaleźć radość i szczęście...

Pamiętał te lata dziecinne, gdy w naiwności chłopięcej klasyfikował kobiety na „jasne“ i „ciemne.“ Te jasne wydawały mu się zawsze dziwnie czystemi, cudnemi. Zda się, niewidzialne skrzydła u ramion miały, na twarzach czarownie słodki uśmiech, w oczach mglistą tęsknotę... I takie były przytem nieskalanie święte, promienne.. Raz ujrzał gdzieś smutną gibką lilię i od tej chwili zapomnieć jej nie mógł. Takiemi liliami wydały mu się te „jasne,“ które wyobraźnia dziecięca stwarzała. Serce jego biło, a dusza niewinna drżała.. Instynktem małego mężczyzny odszukiwał w nich źródło światła, odczuwał to, co w dojrzałym nostalgią się staje... Jakiś ból pragnienia rodził się w nim, a miał świadomość bezwiedną, że ten krzyk serca znajduje oddźwięk w tych istotach, tylko... Tkliwość serdeczna, kobieca i urok duszy nieuchwytny wabiły go już wtedy nieprzeparcie ku sobie.

I teraz był pewnym, że jedną z takich „jasnych,“ jedną z najlepszych jest bezwątpienia Zenia. Zenia, co jak promień słońca wnosiła z sobą blask czegoś kojącego, co widokiem swym krzepiła i jakby otuchy dodawała. Taka srebrzysta, świetlana, z tak nieuchwytnym czarem we wszystkiem, że godzinami z nią przestawać można było z coraz większem pożądaniem jej obecności...

Dwa miesiące temu przyjechał do swojego Nabolewa, który tylko o wiorst kilka oddalonym był od Zalesiniec stryjenki Joanny. Przyjechał z Nauheim, gdzie na kuracyi bawił. Owionęła go znowu cisza spokojnego wiejskiego dworu, na polach zaś i w lesie rozgwar przyrody, tak w niczem do hałaśliwej gorączki „badów“ niepodobny... Z ulgą jakąś powitał to wszystko, był pewnym, że dla przerażającej apatyi, która nim owładnęła, stanowiło to tło najodpowiedniejsze.

Był nie stary jeszcze. Miał lat trzydzieści pięć dopiero, życie słało się przed nim szerokie. Był niezależnym: piękny Nabolew, wolny od długów, stanowił wcale pokaźną fortunę. Rodziców stracił już dawno, opiekowali się nim krewni, póki sam opieki nad sobą nie roztoczył. Sióstr, braci — nie miał nikogo, młodość spędził w gimnazyum, w uniwersytecie i na praktyce, później-u siebie na wsi, w Warszawie zresztą i za granicą, otoczony zawsze małą, ale dobraną gromadką przyjaciół i kolegów. Nie używał też życia zanadto, umiał utrzymać miarę i z tych zapasów z młodością unieść siły nie nadwątlone swawolą... Interesował się też wieloma rzeczami: na uniwersytecie uchodził za „dobrą“ bardzo głowę, czytał dużo i gorąco, zajmował się sztuką, on, o którym niejeden z lekceważeniem mawiał, że to wcale do jego „trzeźwego“ hreczkosiejstwa nie pasuje...

Zresztą nie dbał o to. Szedł przez życie jak tysiące i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest człowiekiem pospolitym. Życiowe burze dlań nie istniały, bo i jakież mogła mu zabezpieczona egzystencya gotować? Z natury refleksyjny, spokojny, nie umiał, nie potrafił rzucać się dobrowolnie w odmęt... A jeśli pragnął wielkiego wzruszenia, jeśli pożądał czegoś, co wstrząsa — to nie szukał i nie zdobywał tego, lecz czekał... Wpatrzony uporczywie w wibrującą koło niego rzeczywistość, zasłuchany w odgłosy życia, wyglądał czasami z niepokojem, czy to wielkie wzruszenie nie zjawia się, lecz oczy jego pozostawały wtedy zawsze szeroko rozwartemi, a na twarzy nie zadrgał zwykle ani jeden muskuł... Garnął się do czegoś i zarazem był sztywny. Chciał głębi, którąby go pociągnęła, a nie wiedział, że czasami trzeba umieć spojrzeć w taką głębię i przenikliwie określić, jaką ona jest.

Dręczony niepokojem zaczął odbywać długie włóczęgi po zagranicy. Zachwycały go najwięcej dzieła sztuki tam nagromadzone, olśniewała czarowność kultury artystycznej. Lecz ani Monachium ze swemi Pinakotekami, ani Drezno ze swą galeryą, ani Paryż ze swym Luwrem i muzeami, ani inne liczne miasta ze zbiorami sztuki i swem w tej dziedzinie życiem, ani stary wreszcie, tak przedziwnie i głęboko niezwykły Rzym nie zaspokoiły nawet w części jego potrzeby zainteresowania się czemś bardziej. Cząstka jego duszy była wrażliwa na to piękno, lecz co miało poruszyć cały ten drugi jej odłam,

inteligentnych, zdolnych pracowników z wykształceniem średniem. Wobec rozwoju ekonomicznego i wzrostu skali wymagań wszelkiego rodzaju, szkoły średnie typów dotychczasowych nie mogą wychowańcom swoim zapewnić warunków pracy zupełnie wystarczających na ich potrzeby. Praca tych ludzi jest mało produkcyjna, dlatego też i licho jest wynagradzana. Wychowaniec gimnazyum lub szkoły realnej, jeżeli chce lub musi poprzestać tylko na przejściu kursu tych zakładów, staje się kandydatem do jakiegokolwiek zajęcia i współzawodniczy, często nawet niefortunnie, z ludźmi posiadającymi wykształcenie elementarne. Tymczasem wychowaniec szkoły nowego typu, projektowanego przez p. Anopowa, jakkolwiek nie odbiera wykształcenia w pewnym specyalnym zakresie, ale przez wdrażanie się do pracy praktycznej od samego początku wyrabia w sobie uzdolnienia do wszelkiego rodzaju zajęć w różnych gałęziach życia ekonomicznego. Będzie to szkoła typowo przystosowana do urządzeń kapitalistycznych, na wzór zagranicy, z odcieniem jednak oryginalnym, czysto miejscowym. Wszelkie gałęzie wiedzy będą tam przykrojone do potrzeb życia. Matematyka np. będzie wykładana nie jako gałąź nauk czystych, jako przedmiot oderwany, lecz tylko jako środek, służący do wyrobienia uzdolnień w pewnym zakresie i do wyzyskania ich na rzecz tego lub innego przedsiębiorstwa. Słowem, z rozległych gałęzi wiedzy szkoła zaczerpnie do swego programu to tylko, co jest potrzebne w życiu praktycznem dla wykonania pewnej sumy pracy około rozwoju ekonomicznego. Ludzie w ten sposób przysposobieni oczywiście będą mieli przewagę nad wychowańcami gimnazyów i innych szkół średnich w walce o byt. Na rynku pracy znajdą większy popyt i za swe usługi otrzymają wyższe wynagrodzenie, niż tamci.

Projektowany przez p. Anopowa nowy typ szkoły ma jeszcze inne, bardzo doniosłe znaczenie. Jest to dążność do zasadniczych reform w przystosowywaniu nauki szkolnej do potrzeb życia. Badanie poczynione w niektórych dzielnicach państwa celem wytworzenia typu szkoły specyalnie dla tej lub innej prowincyi, z uwzględnieniem wszelkich jej potrzeb społecznych i ekonomicznych, jest próbą, która, jeżeli się uda, będzie zaczątkiem reform w tej mierze na rozległych terytoryach państwa. Obok szkół średnich powstaną wyższe specyalne, również przystosowane ściśle do potrzeb miejscowych. W ten sposób rozwinie się powoli reforma w duchu decentralizacyi szkolnej, tak pożądanej. Nauka stanie się dostępniejszą i tańszą dla licznych mas młodzieży, która ze względów materyalnyah albo musi się wyrzekać szkoły, albo odbywać daleką i kosztowną podróż do ognisk wielkich.

Wracając jeszcze do projektowanej szkoły średniej nowego typu, musimy dodać, że p. Anopow czerpał materyał z badań nagromadzonych przed paru laty w celach roformy szkoły łódzkiej. Jest to także jeden z faktów, świadczących, że nowe typy szkół, zastosowanych do potrzeb życia, powstaną zczasem we wszystkich dzielnicach państwa, że zatem i Królestwo Polskie, oprócz szkoły łódzkiej, może pozyska kilka innych zakładów naukowych, zgodnych z potrzebami różnych okolic kraju.

Zen. Piet.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Retrospekcya przewrotowa na gorącym uczynku.

(Dokończenie).

Co do pobudek p. Amouretti'ego, to Jaurès prawdopodobnie trafnie je przeniknął w artykule, zatytułowanym „Fantazya czy zasadzka,“ gdzie wykazał wszystkie wewnętrzne sprzeczności i luki jego planu. Gdy adjutanci Déroulède'a chodzą po zebraniach robotników strejkujących i ofiarując im pieniądze, usiłują poszczuć ich niezadowolenie na rzeczpospolitą parlamentarną (co im się zresztą tak udaje, że obdarowani z obrzydzeniem zwracają im pieniądze, z tak mętnego źródła pochodzące), przyboczni pretendenta do tronu św. Ludwika zaczynają też dochodzić do wniosku, że jedynie może jeszcze szeroko zakreślony plan reorganizacyi społecznej mógłby mu, wbrew postępowemu mieszczaństwu, tron ten przywrócić.

Ale nie o pobudki nam chodzi.

Istotę podobnych dążeń już przed 50-ciu przeszło laty znakomicie scharakteryzował ten, kto powiedział, że krytycy feodalno-duchowni nietylko mają za złe ustrojowi mieszczańskiemu zrodzenie pauperyzmu niespokojnego, burzliwego, rozkładowego, i że cały ów chrystyanizm społeczny jest tylko wodą święconą, którą ksiądz kropi niezadowolenie arystokracyi. Taki np. Haller, ów niemiecko-francuski Anti-Rousseau, teoretyk kontr-rewolucyi w początkach XIX wieku, z tęsknotą zwraca wzrok od ustroju mieszczańskiego, w którym nędzarze traktują społeczeństwo jako *obozowisko*, ku ustrojowi feodalnemu, kiedy było ono dla nich *schroniskiem*. Tu rozpoczynająca się w łonie ustroju kapitalistycznego *retrospekcya* ku feodalizmowi nosi jeszcze charakter nawskróś reakcyjny, jest oczywiście protestem w imię spokoju i stałości, ale spokoju i stałości byłych klas panujących z poprzedniego ustroju: ziemiaństwa, rzemiosła i kleru — objawem nieprzystosowania się ich do nowych warunków bytu. Ale później charakter retrospekcyi zmienia się stopniowo i niemal niepostrzeżenie: klasy feodalne, chcąc walczyć z podkopującym ją kapitalizmem, muszą próbować oprzeć się na nieprzychylnej temuż warstwie ludowej; dzieje się to w różnych krajach w różnym stopniu — w Anglii, jak to opowiada np. znany socyolog i ekonomista padewski w dziele swem o „Ekonomicznych podstawach ustroju społecznego,“ że przez pierwszą połowę XIX w. co rok w parlamencie pewien torys żądał praw fabrycznych, a pewien whig — zniesienia ceł na zboże; zarówno dzięki tej walce, połączonej niezbędnie z całym procesem ideowym, jak i innym formom, w jakich wyraża się wpływ otaczającej atmosfery, retrospekcya coraz bardziej zlewa się z nabytkami doby bieżącej, z przeszłości zwraca się ku przyszłości i staje się *przewrotową*. Taki proces odbywał się przez całe stulecie i kończy się niemal w naszych czasach. Rozkładowe, burzące działanie wkraczającego kapitalizmu doprowadza do świadomości i zaostrza potrzebę pewności bytu

---

który jakby pustką wionął? I jakby potrzebą jakąś naglony, począł się oglądać za tem, co miało mu w tę inną część duszy ciepło wielkie wlać... Bo czuł, że coś, choć jedno i jakiekolwiek, przejść przez życie ludzkie powinno, coś, co zostawia wrażenie i daje tyle wspomnień...

A ponieważ wiedział dobrze, że nic, co „nie jest z tego świata,“ nie rozpłomieni go do tyła, by miało mu dać to ogromne wrażenie, więc stosunkowo rychło zrozumiał, iż tem może i napewno będzie dla niego miłość serdeczna, prawdziwa.

To też z niepokojem oglądał się wokoło, podobny do tego człowieka, który, wyciągnąwszy spragnione ręce przed siebie, głosem pełnym modlitwy woła: przyjdź!...

Czuł, jak pospolite i małostkowe życie ludzkie w niczem do tego podobnem nie jest, co nieraz się w duszy wyśni, co czasem tworzy się bezwiednie... Widział, jak te liczne kobiety, które spotykał i które znał, odbiegały od mglistego choćby typu tej, umiłowanej przez niego. Ale też nie zniechęcał się tem, bo odgadywał trafnie, iż ziarno w plewie zrzadka znaleźć można. Niecierpliwiło go jedno: że plew tych tak dużo.

A nie był bynajmniej człowiekiem, który „uczuł potrzebę ożenienia się“ jedynie. Nie, on chciał tylko tej istoty, z którą tak dobrze, tak strasznie dobrze jest pójść przez dalsze życie ręka w rękę, serce w serce, dusza w duszę, tej najbliższej i najlepszej...

Bożysławski się wzdrygnął...

I znalazł taką!

. . . .

Znalazł ją. Była przystojną, niektórzy mówili nawet, że ładną, pochodziła z dobrej, podobno nawet bardzo dobrej rodziny, miała, jak to wszyscy o tem wiedzieli, duży posag, przytem dosyć powabne kształty, włosy trochę rudawe, takie właśnie, które „działają,“ a oczy dziwne i wcale nawet niezwyczajne... Umiała niemi patrzeć, patrzeć tak, jak potrzeba. Ręce jej mogły się podobać, stopy również...

Znalazł ją, Lucyę. Była więc tą srebrzystą, świetlaną, była tą wymarzoną, o której śnił... Czuł doskonale, że marzenia mają swoją granicę i że nawet w tej promiennej, w tej *kobiecie*, której pragnął każdym fibrem swych nerwów, każdym odruchem myśli, znajdą się pewnie ludzkie ułomności. Na to był przygotowanym, bo nie był ostatecznie dzieckiem. Ale o tej, która miała się stać jego, myślał jakoś inaczej...

. . . .

Córka znanego w Warszawie bogacza. Rodzice jej prowadzili dom elegancki, wystawny. Ona sama tańczyła dosyć dobrze i doskonale prowadziła interesującą rozmowę w salonach...

. . . .

To jest ta jego, z którą pójdzie przez życie...

I nastąpi dzień pierwszy, drugi, dziesiąty, nastąpi tysiączny, a on będzie z nią, z nią, z nią...

Ona to uczyni dom jego domem spokoju i szczęsnego zacisza, ona ukoi go nieraz i rozżalonemu szeptać będzie słowa pociechy... Jej czysta, kobieca łza zleje się z jego męzką łzą, aby potoczyć się cicho daleko... W jej sercu zbuduje ołtarz swój...

. . . .

Siedział. Głowę ogarnął rękoma, palce cisnął w skronie... Usta jego wykrzywił jakiś spazm, policzki mu drgały. Z powietrza, hen gdzieś zewsząd spływała ku niemu martwa jakaś i złowroga cisza, nozdrza wyczuwały grobową jakby wilgoć...

Dlaczegóż nie ma o tem myśleć? Wszak myślał już tyle! Jeden raz więcej — nic po nad to!

I tam gdzieindziej, tam daleko od Lucyi zobaczył oczyma duszy inną słodką postać... Twarz Madonny, usta wązkie, z których zdawało się coś czarownego spływać, głębokie, jasne spojrzenie, blade, zawsze smutne czoło..

Ta druga, to najdroższa Zenia...

. . . .

Ubiegłe miesiące zimowe spędził właśnie w Warszawie. W wirze życia towarzyskiego stykał się z różnymi ludźmi; spotkał też i ją, Lucyę. Znał ją już zresztą dawniej z Ostendy jeszcze, gdzie dwa

u ziemian i drobnych rzemieślników; ale w dalszym swym rozwoju ten sam czynnik, uzależniając coraz bardziej od siebie nawzajem wszystkie warstwy i burząc do reszty mosty między dawnym ustrojem a poprzednim, sprawia, że ta niezaspokojona dziś, zaspakajana dawniej potrzeba pewności bytu, spokoju i bezpieczeństwa staje się ogólną i uwidocznia się możliwość jej zaspokojenia jedynie dla wszystkich razem i w nowej formie. August Comte, który sam siebie przedstawia jako wypadkową niejako dwóch głównie sił: teoretyka postępu nieograniczonego Condorceta i kontr-rewolucyonisty de Maistre'a, bolał nad brakiem wszelkiej pewności myślowej w społeczeństwie zrewolucyonizowanem przez burżuazyę, ulegał retrospekcyi ku dogmatyzmowi kościelnemu wieków średnich, ale stworzył coś nowego: pozytywizm, podstawę pewności względnej i wystarczającej w praktyce. Taki obrót retrospekcyi o pół koła, jeśli się tak wyrazić można, w dziedzinie ekonomicznej dopełnia się jeszcze dzisiaj stopniowo i powoli. Drumont np. z właściwą mu ciasnotą umysłu i paradoksalnym uporem, nosabiając cały kapitalizm w Żydzie, co ma temuż najbardziej do zarzucenia? — ową jego „wrodzoną swierzbiączkę,“ która nie pozwala mu usiedzieć na miejscu, każe ciągle się kręcić i niszczyć ustalone wiekami sploty społeczne, podkopywać *pewność bytu*. Reakcyjna w pochodzeniu swem krytyka antysemity czasami już zawiera zarodki organizacyi nowej. Dla pozyskania drobnego mieszczaństwa wystarcza program konfiskaty „żydowskim sposobem“ nabytych wielkich fortun; gdy do warstw ludowych mniej to przemawia, przeto obóz demokratyczno-chrześciański stopniowo w retrospekcyi swej na miejsce cechu podstawia syndykat robotniczy — znakomity prawnik, prof. Jay, jest teoretykiem tego podstawienia — a w końcu p. Amouretti buduje cały program, nie już prawie nie mający wspólnego ze średniowieczczyzną, posuwa się aż do milicyi, do wybieralności urzędników, ba! — on, agraryusz — do drakońskich podatków od wielkiej własności i spadków. Objawy pojednawczości i ewolucyjności w obozie przeciwnym—Bernstein, Millerand— to podstawienie nowych form na miejsce dawnych wspomnień i żalów ułatwiają i przyspieszają.

Naogół obóz przeciwny widzi w tych objawach tylko maskaradę, chęć podejścia— co zresztą także przyspiesza przemianę retrospekcyi, bo wywołuje emulacyę szczerości. Objawy te wydają się obozowi przeciwnemu niebezpiecznemi głównie dlatego, że *retrospektanci* do ostatka nie przestają być przeciwnikami nowej formy politycznej i nowych systemów myśli. Ale i pod tym względem retrospekcya staje się przewrotową; najlepszym tego przykładem może być żywot Wiktora Hugo. Wszakże wyszedł on ze szkoły Châteaubrianda, był skrajnym legitymistą, pisał ody na śmierć księcia Berry i na koronacyę Karola X, za które dostawał od królów ordery i pensye, niemniej dobrze był widziany przez Ludwika Filipa, z jego rąk dostał nominacyę na członka Izby panów, i jeszcze w r. 1848 zasiadał na prawicy i wcale a wcale nie był republikaninem. Ale niechęć jego do ustroju mieszczańskiego pochodziła nietylko z retrospekcyi arystokratycznej i rojalistycznej, a raczej ta retrospekcya była zarazem retrospekcyą społeczną, litościwą: Hugo bardzo wcześnie zaczął doradzać monarchii, aby była „jałmużny dającą,“ jak za czasów Ludwika Świętego, i taka retrospekcya stopniowo przekształcała się na nadzieje saint-simonistyczne. Już w r. 1838, gdy w Anglii wychodziło znane cyniczne dzieło Dawida Ure'a, pomnik ekonomii molochowej, rojalista i magnat Wiktor Hugo pisał swój tak głęboko odczuty, tak do serca przemawiający cudowny wiersz („Ou vont tous ces enfants dont pas un seul ne rit?“) o dzieciach, dziewczątkach ośmioletnich, co idą o świcie bez opieki matek pracować dzień cały przy ponurej maszynie i skarżą się Bogu na to, że ludzie nie pozwalają im się bawić; w wierszu tym poeta przeklina postęp, „który nie wie, dokąd zmierza,“ który daje duszę maszynie, a odbiera ją człowiekowi,“—przeklina pracę, „która robi garbusów z Apollinów, z Wolterów—kretynów,“ lecz przeklina ją w obliczu Boga w imię innej pracy, błogosławionej, która wyzwala i uszczęśliwia“ — zupełnie jak mówił Millerand w dniu otwarcia wystawy. I gdy w roku 1840 prawica odrzuca jego wnioski co do pomocy biednym, gdy w dodatku posyła wojsko na pomoc Piusowi IX, Wiktor Hugo, zupełnie jak dziś d'Annunzio, zrywa z nią odrazu, przechodzi nagle ze skrajnej prawicy na skrajną lewicę, zostaje republikaninem, pisze „Legendę wieków“ i rzuca gromy „Plag“ na „Napoleona Małego.“

Taką samą ewolucyę przechodził cały romantyzm. Dość przypomnieć, jakimi argumentami bronią się Okopy św. Trójcy w przedmowie do „Nieboskiej“: Pankracy używa ich później — po hrabiach...

Wprawdzie Wiktor Hugo i inni byli poetami; a poezya jest w retrospekcyi czynnikiem może najbardziej przewrotowym. Przewrót w dramatopisarstwie poprzedził republikanizm Wiktora Hugo; przewrót w wersyfikacyi (w „Orientales“) towarzyszył zapałowi dla wyswobodzenia Grecyi...

Ale poezya, choć koncentruje się w organizmach, rozlana jest po wszystkich dziełach i sprawia ciągle podobne przemiany. Oto np. w naszych czasach dawny kolega p. Amouretti'ego, współpracownik tegoż rojalistycznego *Soleil'a*, Urban Gohier, który na jego szpaltach krytykował gwałtownie rzeczpospolitą „panamską i fikcyjną,“ odsłaniał jej kłamstwa konwencyonalne, napadał na wszechwładztwo pieniądza i wyrażał wiarę w społeczno - organizacyjne posłannictwo monarchii — stracił złudzenia i stał się filarem *Aurore*, najwybitniejszą niemal siłą tych, co chcą z rzeczypospolitej wyciągnąć wszystkie konsekwencye.

Ale ten publicysta o niepospolitym talencie i niepohamowanej zimnej energii zasługiwałby na osobną monografię...

Kazimierz Krauz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nasza młodzież.

W kilku numerach *Gazety Polskiej* podszyty mizantropią chirurg dokonał sekcyi

---

lata temu z rodzicami bawiła. Już wtedy uderzyło go w niej coś wyzywającego i dała mu do myślenia dziwnemi i gorącemi spojrzeniami, któremi go zawszo ogarniała... On przyjmował to chłodno, z pewną nawet surowością. Nie uczyniła jednak nic niestosownego nigdy.

Później stracił ją z oczów, aż kiedyś na jednym z prywatnych balów spotkał ją w Warszawie. Nawiązała się rozmowa, wspomniano mimochodem Ostendę... Spotkał ją następnie jeszcze parę razy, a jeden ze wspólnych znajomych wymógł na nim wizytę w tym domu. Sam nie wiedział, dlaczego to uczynił, pewnie dlatego, że ten dom i ta panna byli mu najzupełniej obojętni.

I oto, zapraszany uprzejmie, zaczął bywać coraz częściej... Później w lecie oni przyjechali do Neuheim i tam znowu spotkał się z nimi wypadkiem. Łucya stała się złym jego duchem: czuł, że ciemna burza zawisa nad nim, że ta kobieta będzie jego nieszczęściem... Wspólny pobyt u wód zbliżył ich zanadto i tam właśnie wydarzyła się owa rzecz, od której wolałby wszystko, choćby najgorsze...

Bo tej dziewczyny nie kochał, nie czuł dla niej nic. Była dla niego, jak głaz, jak coś niewyrażenie obojętnego, bezdennie obcego... Jak pustka, jak ciemność...

Gdyby mu kto był przedtem powiedział: oświadcz się jej i uczyń ją swą żoną — wzruszyłby tylko ramionami. Gdyby chciał wmówić w niego, że w tej kobiecie jest choć drobna cząstka tego wszystkiego, o czem on marzył—poczytałby go za głupca, lub waryata. A teraz — ha, ha! Teraz może on sam będzie to wmawiał w siebie!

Oświadczył jej się na drugi dzień zaraz i został przyjęty. Łucya była małostkową, była ładną lalką tylko, była lekkomyślną, ale nie była z gruntu zepsutą. Nie chciała nawet z początku go wiązać, choć drżała na samo wspomnienie tego, co uczyniła. Tem bardziej on postanowił spełnić swój obowiązek i spełnił go natychmiast. Został jej narzeczonym.

. . . .

I pamiętał swój początkowy bezwład, przerywany wybuchami goryczy. Pamiętał swoją późniejszą obojętność i sztuczne pogodzenie się z losem, wmawiania w siebie, że to było jego fatum, że głupcy tylko sądzą, iż można znaleźć w życiu kobietę-lilię, taką kobietę, o jakiej on marzył, dziewczynę z sercem i duszą, nieskalaną... Ale później przyszło jakieś głuche dzikie uczucie buntu: za co, dlaczego? Do szaleństwa nieledwie, z całą mocą ukrywanego, doprowadzały go czułość Łucyi i jej quasi - miłość.

Rozpacz porywała go na myśl, że za jedną minutę szału musi tak ciężko pokutować, że z tą kobietą podzieli życie... A choć myślą, duszą i sercem odpychał ją ciągle od siebie — to jednak wiedział niezłomnie, że do niej i tylko do niej należy.

Siedzieli w Nauheimie; z nim razem dopiero chcieli do Warszawy wracać. Lecz on nie mógł tam z nimi wytrzymać, dusił się... Ślub naznaczono na zimę, on wyjechał do kraju, niby dla urządzenia domu w Nabolewie i poczynienia wszystkich niezbędnych przygotowań, w rzeczywistości zaś, aby wyrwać się stamtąd jak najprędzej, aby być choć kilka tygodni samotnym.

Jechał, ogarnięty dziką jakąś zmartwiałością i takim też do Nabolewa przybył. Pragnął się zagłuszyć, później nie próbował się już łudzić. Gniótł w sobie zmorę, która go szarpała, milczał... Stryjence Joannie nie wspomniał nawet o zmianie, jaka zajść w jego życiu miała... Po co?

A tam właśnie w Zalesińcach poznał Zenię.

Poznał ją, Zenię Tolchowiczównę, i ukochał bezgraniczną, bezbrzeżną, rozszalałą w swej sile miłością. Pokochał ją całem swem nieobjętem pragnieniem miłości, które, jak mękę, nosił w sobie tak długo, całą mocą wszystkich swych lepszych porywów, wszystkich najczystszych, najgłębszych i najlepszych uczuć...

A ona, zdaje się, pokochała go także...

(D. n.).

na organizmie naszej młodzieży uniwersyteckiej. Oddzielne ogniwa tej u nas wcale niezwykłej filipiki są bezsprzecznie słuszne, ogólny jednak pogląd na rzeczy uważamy za zupełnie mylny. Nietylko my, ale i sama młodzież karci nieraz zupełnie namacalnie a boleśnie karciarzy, abonentów dorożek „na gumach,“ wysokich mecenasów baletu i przyległości. Czy dlatego, że w kołach naszych lekarzy, adwokatów ostatecznie i aptekarzy rozwiniętem jest bajecznie karciarstwo—można godzić w całe społeczeństwo i odmawiać mu zdrowia społecznego, wartości moralnej itd.? Młodzież jest taką, jaką jest społeczeństwo, często nawet lepszą, bo młodszą, bo niestrawioną przez głód złota, ambicye, zawiść i nienawiść. Wogóle cała kwestya wymaga bardziej poważnego zastanowienia. Poprzestajemy dziś na jej zaznaczeniu — wrócimy zaś do tego przedmiotu w najbliższej przyszłości.

„Encyklopedya wychowawcza.“

Przed laty dwudziestu grono ludzi dobrej woli rozpoczęło wydawnictwo dzieła doniosłego znaczenia—„Encyklopedyi wychowawczej.“ Wychodziła ona przez lat 14 zeszytami. Zeszyty te stopniowo, wskutek różnych okoliczności, głównie zaś z powodu słabego poparcia ludzi, których ono przedewszystkiem obchodzić było powinno — ukazywały się w coraz dłuższych odstępach czasu i wreszcie całe wydawnictwo utknęło na początku artykułu „Gramatyka.“ Wobec faktu, że przeważna większość naszych nauczycieli i nauczycielek przystępuje do pracy zawodowej z bardzo słabem przygotowaniem i nie ma ani chęci, a nieraz nawet i czasu do studyów systematycznych, doniosłość wydawnictwa w rodzaju „Encyklopedyi wychowawczej“ jest oczywista. Dzieło takie encyklopedyczne nie może wprawdzie zastąpić pracy systematycznej, daje przecież odpowiedź na wiele zagadnień z zakresu pedagogiki i dydaktyki, daje pewne wskazówki z danej dziedziny, ułatwia zresztą zaznajomienie się z rzeczami, niezbędnemi dla każdego, kto się podejmuje trudnego i odpowiedzialnego zadania wychowywania, nauczania i kształcenia młodzieży, a chce je sumiennie i z pożytkiem wykonać. Wielka też wdzięczność należy się tym, którzy wzięli obecnie na swe barki niełatwe zadanie kierowania i doprowadzenia do końca wielkiego dzieła.

Oddając się od lat dziewiętnastu zarówno praktyce, jak i teoryi nauczania, pozwolę sobie wypowiedzieć parę uwag, które mi się po przejrzeniu spisu artykułów, „wejść mających w skład dalszego ciągu „Encyklopedyi wychowawczej,“ mimowoli nasunęły.

Każdemu, kto jest bliżej oznajmiony z literaturą naszą dydaktyczną dawniejszą, musi się rzucić w oczy bardzo niedokładne uwzględnienie tej literatury i pominięcie wielu zasłużonych pedagogów i dydaktyków dawniejszych (do ich szeregu zaliczam naturalnie i autorów utworów beletrystycznych dla młodzieży).

Nieznajomość prac poprzedników, takich np. wytrawnych dydaktyków, jak pedagogowie poznańscy, fatalnie się nieraz odbija na bieżącej literaturze podręcznikowej warszawskiej, której cechą główną, obok stałej niemal nieznajomości przedmiotu, jest dziwna nieumiejętność wykładu. Zapoznanie się z tą literaturą dawniejszą, z zakresu np. nauki języka polskiego, byłoby bardzo korzystne dla współczesnych autorów i autorek różnych gramatyk i stylistyk, jak się o tem przekonać mogą z artykułu prof. Mieczyńskiego, gruntownego znawcy przedmiotu („Poradnik dla samouków,“ II).

Ten sam zarzut niedokładności uczynić należy nowej redakcyi i z powodu pominięcia całego szeregu współczesnych zasłużonych pedagogów i dydaktyków galicyjskich i poznańskich. Poprzednia redakcya z zasady pomijała autorów żyjących (nie znajdziemy więc w pierwszych czterech tomach „Encyklopedyi“ artykułów o takich nawet pracownikach, jak Anczyc, Bądzkiewicz, Boberska, Duchińska (Pruszakowa), Dygasiński, Chociszewski itd.), a czyniąc to, miała pewną słuszność, współcześnicy bowiem niezawsze są sprawiedliwi dla żyjących, szczególnie dla młodszych, przeceniając nieraz albo niedoceniając ich zasług. Widoczne to jest i w „spisie,“ ułożonym przez nową redakcyę, która odstąpiła od zasady swej poprzedniczki. Pominięto tu np. pewną zasłużoną na polu pedagogicznem i powszechnie znaną w Warszawie wychowawczynię i autorkę, chociaż pomieszczono inną, która w tej mierze bynajmniej na takie względy nie zasłużyła.

Taki przecież fakt da się jeszcze wytłomaczyć. Pominięcie atoli takich pracowników na polu pedagogicznem lub dydaktycznem (że wymienię tu razem zmarłych i żyjących, starszych i młodszych razem), jak np. Kłos (autor pierwszej arytmetyki w języku polskim), Sarbiewski, Poczobut, Gorczyczewski, Szwejkowski, Jaźwiński, Mroziński, Gregorowicz, Groszczyński, obaj Węclewscy, Malecki, Tarnowski, Szujski, Szmurło, Zakrzewski, Lowicki, Sawczyński, Zawiliński, Majchrowicz, Próchnicki, Kuliczkowski itd. — jest co najmniej dziwne, a to tem dziwniejsze, że o sobie panowie redaktorowie, układając „spis artykułów,“ bynajmniej nie zapomnieli.

Kasa ogrodników.

Przy Towarzystwie pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie istnieje kasa pożyczkowo-oszczędnościowa ogrodników i pszczelarzy, z której korzystać mogą wszyscy oficyaliści rolni. Dotychczas najniższa składka wynosiła 9 rb. rocznie (czyli 75 kop. miesięcznie). Obecnie udało się komitetowi uzyskać zezwolenie ministeryalne na zmianę ustawy, ktora w § 7 brzmi:

„Członkowie rzeczywiści przy wstąpieniu do grona członków kasy wnoszą wpisowe w ilości jednego rubla i obowiązują się do płacenia stałych składek miesięcznych na kapitał obrotowy i oszczędnościowy, a mianowicie: zajmujący się samodzielnie ogrodnictwem lub gospodarstwem rolnem po 50 kop. na kapitał obrotowy i nie mniej, niż po 1 rb na kapitał oszczędnościowy; pracownicy, pobierający rocznie bez dodatków w naturze 150 rb. i więcej, lub pobierający rocznie 75 rb. i więcej oraz dodatki w naturze, wnoszą na kapitał obrotowy po 25 kop. i najmniej po 50 kop. na kapitał oszczędnościowy; pracownicy zaś, pobierający wynagrodzenie mniejsze od określonego powyżej, wnoszą na kapitał obrotowy po 10 kop. i najmniej po 20 kop. na kapitał oszczędnościowy. Po upływie lat 20 stałego uczestnictwa w kasie wszystkie składki członków rzeczywistych zapisują się na własny ich kapitał oszczędnościowy.“

Komitet żywi przekonanie, iż obecnie, wobec tak znacznej obniżki wkładów obowiązkowych, szeregi uczestników szybko wzrastać zaczną. Nie podzielamy, niestety, tych iluzyj. Kasa nie może być dostępna dla szerokiego ogółu wszelakich rządców, ekonomów, włodarzy, karbowych, ogrodników. Przedewszystkiem dlatego, że w tej sferze niema z czego robić oszczędności. Dzisiaj, w dobie t. z. kryzysu rolnego, czyli w epoce „robienia oszędności,“ ofiarą „odejmowania“ gospodarczego padają przedewszystkiem oficyaliści wiejscy. Kto może, obywa się bez pomocy administracyi. Miejsce drogiego „pana administratora“ zajmuje „tańszy“ rządca, jeszcze tańszy ekonom, bajecznie—mówię panu—tani włodarz. A gdy prąd taki ogarnia szeroki pas kraju, może się łatwo zdarzyć, że „pan administrator“ po licznych migracyach, poszukiwaniach, objazdach wraca do swego dawnego warsztatu z tytułem tylko rządcy albo ekonoma. Degradacya ta nie byłaby nawet subjektywnie tragiczną (na naszej wsi, śród czeladzi dworskiej, śród włościan tytuły są bez znaczenia), gdyby nie „odejmowanie“: w sumie wynagrodzenia pozostają te same tylko *zera*, ale zamiast piątki na trzeciem miejscu stojącej przed rokiem, dziś widnieje tylko dwójka. Z czegóż tu oszczędzać? Dobrze, jeżeli dadzą się końce związać; dobrze, jeżeli starczy na trzewiki i ubranie dla [illegible] pani administratorowej i gromady dzieci (tym sferom obce są jeszcze błogosławieństwa maltuzyanizmu). Dobrze, jeżeli rachunek w sklepiku wiejskim, kredkową buchalteryą prowadzony, nie wykaże takiego *salda* na rzecz długobrodej Cerery, że trzeba będzie wyprzedać coś niecoś z ruchomości albo i przedwcześnie pożegnać się z przeznaczonem na wielkanoc prosięciem, albo często słuchać złych podszeptów, walczyć z sumieniem i t. d. Skądże tu nawet minimalne składać oszczędności?

Nie koniec na tem. Gdyby one były, jakże je do kasy Towarzystwa oddawać? Osobiście, „przy sposobności“? Takich sposobności niema. Jeździli ongi „administratorowie“ do Warszawy, ale dalibóg nie widziałem ekonoma, któryby odważył się ponieść trudy takiej podróży! Za pośrednictwem poczty? A koszty? Każdą przesyłkę 30 albo nawet 300 kop. obciążać portem 15 kopiejkowem? Musiałby tedy komitet postarać się o kasyerów prowincyonalnych, którzyby przynajmniej w powiatówkach wkłady oszczędnościowe zbierali. Nie wiemy, czyby taka maszynerya złożona dała się w ruch wprowadzić i czyby pożytek przyniosła. Jakkolwiekbądź—nie zdaje nam się, aby Kasa mogła liczyć na poważną, tj. na tysiące rachowaną klientelę wiejską. Jeśli zdoła po wieloletnich wysiłkach te sfery zorganizować, to obejmie w najlepszym razie tylko powiaty znajdujące się w najbliższem sąsiedztwie Warszawy.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNEK DO NASZEJ METODYKI NAUKOWEJ.

Rodzina kruków w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego, opracował Erazm Majewski przy współudziale Szczęsnego Jastrzębowskiego i dr. Józefa Saneckiego.

Autor pracy o rodzinie kruków w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego, p. E. Majewski, rozpoczyna swój przyczynek krotką opowieścią o swoich wysiłkach, których płodem jest tylko co wymieniona w nagłówku książka. Zaznacza, iż jeszcze przed laty dziesięciu—dla dokładności zacytował tom *Wisły*, a w nim stronicę — zwrócił uwagę na pożytek zebrania pojęć ludowych o zwierzętach (a także roślinach) w całość, „związaną systematycznie.“ Pracując z towarzyszami, wydał z biegiem czasu monografię o wężu, kukułce, nietoperzu i sowie, wreszcie o rodzinie kruków. Pod naciskiem pilniejszych obowiązków zrozumiał, iż trudno będzie mu się zdobyć na ukończenie dzieła o zoologii ludowej, które zajęłoby parę lat pracy zbiorowej „Może ktoś z etnografów lub miłośników, rozporządzający czasem i dobremi chęciami, widząc, czego nam potrzeba, zechce przyłączyć się do naszej spółki i podejmie się dalszego gromadzenia materyałów“—„wtedy utworzylibyśmy łatwo ciekawe i pożyteczne dzieło.“

Wobec takiej odezwy do kół szerszych, obowiązkiem naszym będzie wypróbować, o ile dzieło to, w formie takiej, w jakiej ułożono monografię o rodzinie kruków, może być ciekawem i pożytecznem, oraz o ile przedstawia całość związaną systematycznie. W tym celu z pośród rodziny

kruków wybierzemy dział poświęcony wronie — nie jest ani tak długi, ani tak krótki, jak inne.

Rzecz o wronie rozpoczyna się podaniem nazw, pod jakiemi ten ptak słynie u ludu. Potem idą nazwy miejscowości, utworzone od źródłosłowów tych samych, co „wrona" i „gapa," a istniejących na przestrzeni kraju naszego i dzielnic Słowiańszczyzny ościennej. Nazwy te są przepisane ze „Słownika geograficznego," w którym każdy w potrzebie znalazłby je niemal z taką samą łatwością, jak w książce p. E. Majewskiego. Tak samo przepisano nazwy zwierząt i roślin, wyprowadzone z tego samego źródłosłowu, oraz synonimy — pierwsze ze „Słownika nazw zoologicznych i botanicznych polskich," drugie z Lindego i słownika wileńskiego. Wreszcie dział językowy zakończono podaniem naśladowań i tłomaczenia głosów wrony — z różnych autorów.

W dziale następnym na pierwszem miejscu znajdujemy przysłowia, przypowieści, przenośnie. Ogółem zajmują one przeszło kartę, a są najpospolitszem przeniesieniem ze stronic „Księgi przysłów" Adalberga na stronice pracy p. E. Majewskiego, jak o tem zawiadamia nas przypisek. Winniśmy zaznaczyć, że u Adalberga, skutkiem przyjętej przezeń klasyfikacyi, można je również tak samo łatwo znaleźć, jak u p. E. Majewskiego. Już trudniej odszukać inne dane, a mianowicie łamigłówki, żarty i pieśni, w których wyobraźni lub rymowi ludowemu zechciało się zamieścić wronę. Są one rozproszone po różnych dziełach, ale pomimo najszczerszych chęci nie możemy zrozumieć, komu i na co mogą przydać się te ustępy, wypisane ze „Zbiorów wiadomości" lub z dzieł Kolberga a przedrukowane na stronicach nowego archiwum, już wyłącznie poświęconego wronie. Nad tem przepisywaniem bez wytkniętego celu, byleby gdzieś figurowała nazwa wrony, zatrzymamy się niebawem szczegółowiej. W dalszym ciągu idzie zbiór przesądów i poglądów, związanych z tylekroć wymienianym ptakiem— tak samo przepisanych i ułożonych w pewnych rubrykach, o tyle jednak pożyteczniejszy od poprzednich, iż zgromadzono w jednem miejscu rzeczy, rozproszone po licznych źródłach.

A teraz, gdyśmy zapoznali się z treścią przyczynku do rodziny kruków w mowie, pojęciach itd. ludu naszego, możemy z całym spokojem zadać sobie pytanie, jaki pożytek płynie z tego rodzaju studyów i o ile taka praca zasługuje na miano naukowej. Niewątpliwie, dzieło, które podobnego rodzaju „fakty wydobyło dopiero z ukrycia, zbierając je wprost z ust ludu, tak jak to robił Kolberg i wielu innych miłośników zwyczaju ludowego, wzbogaciłoby nasze piśmiennictwo ludoznawcze i dostarczyłoby materyału dla przyszłych pracowników na niwie filozofii ludowej. I tak samo, gdyby p. E. Majewski jął się opracowania tych surowych faktów i wyśledził, jakie są źródła przesądów, związanych z rodziną kruków (co możliwem jest na podłożu studyów porównawczych, zestawiających pojęcia o kruku, wronie itd. u różnych ludów), dalby może ciekawy przyczynek do rozwoju i istoty zapatrywań filozofii pierwotnej. Ale nie dokonał ani jednego, ani drugiego. Poprzestał na wynotowaniu wszystkiego, co gdziekolwiek w naszem piśmiennictwie ludoznawczem zapisano o wronie, gapie, kruku i in. ptakach tej rodziny. Taka praca mogłaby być jeszcze pożyteczną, gdyby same źródła, z których zgromadzono materyał surowy, były niedostępne i rzadkie, a nadto liczba pracowników naukowych, potrzebujących takiego ułatwienia, bardzo znaczna. Ale tak nie jest. Liczba osób, które w potrzebie mogą skorzystać z takiego zbioru, jest u nas bardzo a bardzo niewielka, tak iż chyba możnaby je wszystkie zliczyć na palcach; książki zaś źródłowe są powszechnie dostępne, a dla badacza jest wszystko jedno, czy wziąć do ręki Adalberga, „Słownik geograficzny" lub przyczynek p. Majewskiego. W takich warunkach pracę, która nic innego nie robi, tylko poprzestaje na przepisaniu materyału surowego i po za tem nic nowego nie wnosi, trudno poczytywać za wydajną i owocodajną. Moglibyśmy tę działalność przyrównać do postępowania kasyera, który kwoty różnomonetarne rozkłada w przegródkach w ten sposób, iż w każdej jest miejsce na inne sztuki. Operacya taka naturalnie nie powiększa ani o szeląg istniejącego kapitału. Jednak to porównanie nie całkiem jest właściwe, bo pożytek praktyczny z uporządkowania monet jest niewątpliwy, a kasyer nie będzie przesuwał monet z jednej przegródki do drugiej, jeśli w pierwszej są one dostatecznie wyodrębnione, ani nikt nie będzie mu nadawał miana kapitalisty, przysparzającego mienie społeczne, ani wreszcie on sam namawiał innych przedsiębiorców, ażeby porzucili zwiększanie kapitałów a jęli się tylko rozkładania w inny sposób posiadanych w szafce kapitałów. Przedewszystkiem zaś kasyer odrzuci sztuki podejrzane. A tymczasem w pracy p. Majewskiego jest mnóstwo ustępów, z których powodu nadaremnie łamiemy głowę, jaką myślą kierował się on, włączając je do zbioru. Jest np. piosenka:

> Z tamtej strony młyna,
> Kąpała się wrona,
> Pan kapitan myślał,
> Że to jego żona.

albo żarcik:

> Stachu, wrona na dachu,
> Jak zleci, będziesz miał kopę dzieci!

W przesądach swoich lud kierował się pewnymi głębszymi poglądami, które sprawiły, iż utożsamił wronę z siłą nieczystą, ale w przytoczonej piosence i fraszce ptak ten znalazł się przypadkowo. Zamiast „wrona na dachu," mówią: „kura," a mogłaby figurować i suka, bo nie psuje miary wiersza; w krakowiaku zaś wrona zawdzięcza istnienie rymowi, a gdyby trznadel, papuga lub paw nosiły rymujące nazwy, mogłyby tam się znaleźć. Ale, niestety, lud nasz umieścił wronę i wierszyki te figurują w przyczynku do zoologii ludowej...

Streśćmy się: układając zbiór, p. E. Majewski nie kierował się żadną głębszą myślą przy dobieraniu materyału; byleby gdzieś znalazł się kruk, gawron, wrona lub gapa, już przepisywał ustęp i wtłaczał go w swoją „całość systematycznie, związaną" wspólnością takiego okazu. Książka sama jest przepisaniem, według pewnych rubryk, materyału łatwo dostępnego. Nie przysparza ona ani materyału surowego, ani nie rozszerza znajomości naszej o filozofii ludowej, podczas studyów nie daje nam dostatecznie znacznych ułatwień, a nawet, w tych skromnych szrankach, w jakich podjęto ją, nie grzeszy myślą krytyczniejszą. Niema tam żadnej systematyczności naukowej, bo za taką nie możemy uważać pospolitej buchalteryi rubrykowej. Wobec tego odezwę, iż „może ktoś z etnografów lub miłośników podejmie się dalszego gromadzenia materyałów," winniśmy poczytać tylko za objaw bardzo dobrej woli, ale bynajmniej nie świadomości tego, czego braknie nauce naszej w zakresie rozpatrywanej gałęzi. Ludoznawstwo nasze ma coś pilniejszego do roboty, niż pracę, która niczem go nie wzbogaca: zwyczaje ludu ulegają pod wpływem industryalizmu szybkiej zmianie i pożądanem byłoby zanotować szczegóły i przesądy, które może za parę dziesiątków lat będą bezpowrotnie pogrzebane; umysłowość nasza domaga się opracowania tego materyału surowego, jaki już nagromadzono i oświetlenia go ze stanowiska porównawczego. Oto zadania rzeczywiście naukowe i do nich nawołujmy ludzi dobrej woli! Siły nasze są nieliczne, kraj pozostał w rozwoju naukowym za innymi, nie zabagniajmy więc naszych środków i sił nawoływaniami do działalności, która nie jest jeszcze wiedzą, a co ważniejsza, nie rozpowszechniajmy o charakterze tej ostatniej wręcz opacznych zapatrywań!

L. Krzywicki.

NOTATKI NAUKOWE.

E. Rawita Gawroński: *Studya i szkice historyczne,* serya druga, str. 241.

Zbiór luźnych szkiców, poświęconych najrozmaitszym przedmiotom, chociaż najwięcej z pośród nich dotyczy przeszłości Owruczczyzny i okolic sąsiednich. Dowiadujemy się o losach wielkiej fortuny na kresach po wygaśnięciu rodziny książąt Połowców-Rożynowskich, mamy kartkę z dziejów pieniactwa i samowoli na Ukrainie, studyum o nieznanym hetmanie kozackim, Filipie Orliku, o pochodzeniu poety Tarasa Szewczenki, o przygodach Ludwiki Śniadeckiej. Są to opowieści o wypadkach mniejszego znaczenia. Lecz obok nich znajdujemy kilka rozpraw o rozleglejszym temacie, o prawie bartnem w Polsce w w. XVI. O siabrostwie, jako formie władania ziemią na Polesiu owruckiem, o tak zwanych sądach kopnych w tylko co wymienionych okolicach, wreszcie szkic krytyczny, zatytułowany jako pogląd na historyę rolnictwa w Polsce. Są to, na ogół, zwykłe artykuły historyczne, zamieszczane w fejletonach pism poczytniejszych. Historykowi zawodowemu niewiele one dają, bo w potrzebie odwoła się do źródeł, z których czerpał p. Gawroński i potrafi w nich to samo, a nawet więcej wyczytać; co najwyżej, zatrzyma się nad jednym szkicem, opartym na materyale rękopiśmiennym, chociaż kwestya poruszona należy do dość błahych. Dla szerszego ogółu są one nieco nudne, bo i strona stylistyczna nie przykuwa do siebie czytelnika swoją barwnością, a tematy poruszone nie zainteresują go głębiej. Wprawdzie parę kwestyj mogłoby obudzić w nim zaciekawienie, gdyby nie zupełny brak szerokiego rozmachu, który musimy uważać za charakterystyczną cechę p. Gawrońskiego. Szkic o prawie bartnem jest poniżej poziomu tego, co zostało w nauce zrobionem, to samo da się powiedzieć o poglądzie na historyę rolnictwa w Polsce, będącym krytyką książki „Rys dziejów gospodarstwa krajowego," tak samo słabej, jak i krytyka. Szkice o siabrostwie i sądach kopnych poruszają ciekawy temat, ale nauka dzisiejsza ma również prawo stawiać szersze wymagania. Słowem, książka, jak mówi przysłowie, ni z pierza ni z mięsa nie jest pociągającą. *lk.*

— W dodatku miesięcznym do *Głosu* wyszły dwie broszury. Guglielmo Ferrero: szkic „Czynniki postępu moralnego" — zarys większej pracy, dotychczas nieukończonej. Jak wszystko, co pisze ten zdolny przywódca „młodych Włoch" — broszura ta zawiera wiele bardzo słusznych i wiele ryzykownych poglądów. Nie jest to zbyt głęboki umysł, ale raczej błyskotliwy, dowcipny, zręczny, łatwo asymilujący cudze poglądy, łatwo swoje narzucający innym. Wogóle bardzo dzielny, typowy Włoch. Obszerniejsze sprawozdanie „Postępu moralnego" można znaleźć w *Ateneum* (marzec, 1897). — Druga broszura pióra znanego niemieckiego socyologa radykalnego, Henryka Cunowa, zawiera uwagi nad „Rozwojem społecznym i ekonomicznym Chin" — posiada raczej wartość aktualną, a może być przeczytana z pożytkiem. W tej samej kwestyi można porównać szkic Marchlewskiego: „Kwestya chińska w oświetleniu ekonomiczno-społecznem," zamieszczony we wrześniowym zeszycie *Ateneum* z r. b. *—sp.*

LITERATURA I SZTUKA.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

II.

Nie streszczam „Legendy.“ *Un mythe est sur la grève du temps comme une de ces coquilles où l'on entend le bruit de la mer humaine. Un mythe est la conque sonore d'une idée.* Staram się tylko śladem słów poety dojść do owych głębin, w których znalazł czarodziejską i najmilszymi nam dźwiękami rozbrzmiałą konchę swojej pieśni.

A prowadzą przedewszystkiem te słowa w czar głębin, kędy Krak leży „w majestat skuty skalny.“ Zdaje się, jakoby sam Wyspiański posiadł ów kwiat czaru, który włożyli rusalni z jego woli na głowę legendowej Wandy; jakoby ten wianek krasy, na niedostępnych zerwany głębinach ciągnął myśl jego, „kędy się cuda roją pod wodami“ i skąd „z siwą brodą, przerosłą w krzak koralu“ wygląda twarz zapomniana, wyglądają rysy *pogańskiego świata Słowian.*

Wiślan, król wód, i córa jego Wiślana, srebrząca w świetle Welesa miecz ojcowy, a obok nich cały naród wodny, rusalny; Dziedzila — bogini, co przez lasy z łukiem i oszczepem hula: Lele boże, gwarzące w drzewach lipowych, wieczystych; Krasy—lud i Żywia „śliczna“ i potężna Łada, wszystkie owe spadłe a „światowitne“ bogi, bogi „mchów spowite pleśnią i rdzą zjadłe“ — oto miłośni Wyspiańskiego. „Swiętą dziś niemoc ich, piorunną wczora“ wskrzesza, zna wszystkie czary, wszystkie zaklęcia, jest, jako ci starodawni lirni, którzy wiedzieli moc świętych strumieni i wiedli ku nim wędrowne gromady.

Żyje ta stuwieczna Moc. Obejmuje jak dawniej przestworze, żali się po dziś dzień, w starych spróchniałych wierzbach, a Władc. w hańbach leżące, czekają tylko, rychło-li powstaną.

> ...będzie las litewski szumiał
> i swoje bogi litośniejsze wskrzesną,
> wstaną żywe...
> bowiem na Litwie jak dawniej las
> szumem gwarzy o Perkunie.

„I to szał miłości... wnikać w rolę, w ziemię, grunt — jako dęby wkorzenić się w glebę i wchłonąć we się wszystek czar, chcenie a wolę mocy tajemnych...“

Natenczas odmładza się duch, budzi się

> szuka swych dróg, swoich wierzeń,
> szuka bytu i prawdy szuka i sprzymierzeń
> z owymi duchy, co są wielkie niebosiężne,
> co są mocne nad moce światów a potężne
> jak legendarne króle — jak mocarze!
> Ja się ich wskrzesić zrywam—tak, ja się odważę
> wskrzesić słowiański świat, arcypogański
> świat zginiony.
> (*Lelewel*).

A zaiste piękny to i wielki świat. Jest w nim bezpośrednie ducha ludzkiego z bogami obcowanie. Jest mir, jako że nie szamoce się człowiek w bezsilnej z wyrokami Przeznaczeń walce. Są lirni wszystkowiedni, wróże piorunowe, co jako słupy ogniste chodzą przed szeregiem na przodzie... aż się ziści tajnych wyroków czas... Łada-Miłość i Śmierć-Nija dzierżą porówni szale życia, które płynie pod okiem mieszkających gęsto naokół bogów. Życie to proste i prawdziwe. Każda siła mówi tu swoją mową: miłość i nienawiść, żądza i ofiara, rozpacz a tęsknota, żałość i uciecha, słabość i moc, i zdrada nawet i zgon mówią swoją mową. Więc milczy obłuda.

Wydało się niektórym dziwne, że jednocześnie prawie z „Legendą,“ rdzennie polską, napisał Wyspiański „Meleagra“— utwór, który już na karcie tytułowej nosi napis „Tragoedia.“ W naszych czasach grecka tragedya, zbudowana według wszystkich prawideł sztuki klasycznej, tragedya, odbywająca się na terasach Akropolu, płynąca z gniewu pominiętej przez Oeneasa, króla Kalydonu, w ofiarach Diany... Jakie to dalekie! A jednak „Legenda“ i „Meleager“ i późniejsza od obu tragedya „Protesilas i Laodamia“ i jeszcze późniejsza rodzima „Klątwa“ płyną ze źródła pogańskiego na świat poglądu, który zdaje się być zasadniczem wierzeniem Wyspiańskiego i który czyni, że bez względu na to, w jakiej się ten poeta wypowiada formie, jest on w wszystkich swoich duchowych założeniach *tragikiem.* Rodzaj to, rzekłbyś zaginiony, niewspółczesny, lecz powstaje z wielkich prochów i jak za najpiękniejszych dni jest żyw. I wydaje nam się, że niema prawdziwszej skargi nad tę, którą oskarża się w obliczu chórów Oeneas:

> ja winy całej ciężar dźwigam wieki,
> jestem filarem grzechów tych, co zmarli,
> oni mi złudę wszystkich szczęść wydarli,
> wiedzeni tajnym przeznaczeń wyrokiem
> w przepaść, gdy na mnie spada kara
> dalszego życia...
> Przesądom, czarom nie dawałem wiary,
> przysięgi bogom składane łamałem,
> dziś próżno, choćbym wierzył; —
> za dawne winy dziś spadają kary...
> i Los przed oczy mi stawiać spłakane
> ohydne dzieła i życie zszargane,
> chciał, żebym wszystkich przeżył..

Chór zaś kończy:

„Wszystkie się winy muszą zrównać i wypłaty czas nadejść musi i żadna starość nie wyprosi się od kar, jakie człowiek zapisał sobie sam w księdze przeznaczeń...“

To tylko pozornie dalekie od legendarnej Wandy, której przypomina brat, że ją znaleziono „porzuconą w szuwarach na wiślanych moczarach“, że jest więc rusalna, wodna i że się o nią woda upomni. Gdy Wanda zdaje się nie słyszeć wołających ją z głębin głosów, wiosło pęka, ster pryska w kawały, wody się burzą, mącą i prom nieledwie tonie... Cały łańcuch jej życia zawisł na tem jednem, ręką przeznaczeń umocnionem ogniwie: „tyś jest rusalna, wodna...“ I poczyna targać się łańcuch w chwili, gdy dotyka go rdza winy; i dopełniają się wyroki.

Jak Meleager znaczona jest u kolebki wolą bogów.

Mniemam, że forma tragedyi greckiej pociągała Wyspiańskiego dlatego jeszcze, że jak żadna inna pozwala w ramach swoich płynąć namiętności, która ujawnia się tu naga, bez konwencyonalnych osłonek i z woli bogów poczęta, w obliczu bogów wrze, kipi, żyje i syta zlewa się z falami Lety. Chór wtóruje żalom płaczącej za utraconym kochankiem Laodamii i nie dziwi się, że trawi ją, szalejącą, rozkochaną, niezugaszona za miłością tęsknota. Bo czyż nie sama to Aphrodis przyzywała najżarliwszemi słowy kochanka Adonisa?

> Eros, Eros ty mój,
> różane dziecię,
> ty dla mnie łoże strój
> w kwiecie,
> w kwietne opasuj wianki,
> we sploty
> łoże żony, kochanki;
> całam więdła z tęsknoty,
> a tyś dla mnie, wybranki,
> ustrzegł bełt złoty...

— Synu Maji, który czerń nocy tniesz wężownicą straszliwie splecioną —

— oto gdy noc mrokiem osłoni Phylackie wybrzeża... z podziemu przywiedziesz go sam,

upragnionego ku mnie pragnącej...

Więc i Pluton do litości nieskłonny, litością się przejął i Hermesowi cienie Protesilasa ku Laodamii wywieść pozwala. Tak zrozumiałą bogom rzeczą była namiętność i tak wielką była jej mowa w czasach prawdy. Dusza, dłonią Erosa tknięta, wołała, że łaknie miłosnego słowa, ciało uścisków żądne wołało, że uścisków pragnie i nie było wstydu ani pohańbienia w takiem wołaniu. Bogowie go słuchali i ludzie, bowiem wołał *człowiek.* A że dziś głosowi temu w całej pełni rozbrzmieć wolno tylko na kartach „tragedyi,“ więc Wyspiańskiemu, zasłuchanemu w dźwięk prawdy ludzkiej, prawdy jak bogowie odwiecznej, forma tragedyi narzucała się sama z siebie.

Używa jej i w „Klątwie,“ blizkiej, rodzimej, w klątwie, ciążącej nad „grzeszną“ miłością księdza, bowiem

> Ktokolwiek na tej ziemi
> przysięgi straszliwemi
> ślubował Bogu swoją duszę
> w czystości żywić nieskalanej,
> a potem śluby swoje łamie
> i w boskiej łasce dla się kłamie
> Bóg pomsty zsyła nań katusze
> i jego dzieci i kochanie
> na zatraconych ogień wpędza
> . . . .
> oto jest matko moja nędza.

A dzieci ksiądz kocha i miła mu jest „Młoda,“ co w kochaniu i łasce z nim żyła. Ale klątwa boża zawisła nad wsią, z dopustu Boga „ziemia spiekotą stęgła“ i „powiędła w badylach żywość.“ Więc odzywa się stara wiara.

> trza, by pod nieba błękit parny
> dym wzbił się w słup ofiarny,
> by Żywioł Ognia z ziemi lęgły,
> z niebieskim żarem stał się sprzęgły...
> sprzadz czarnorogich wołów czworo,
> tymi dwie sagi ciężkich kłód
> trza na dalekie wywlećź pole
> ugorne, puste...

Ofiary trzeba. „Ofiary z żywych płodów ziemie“ powiada pustelnik. Ofiary z tego, co ludzkie płomię zlęgło—powiada Młoda.

> Miłość dziś moja katem dla mnie,
> a przecz że żyłam w niej niekłamnie;
> jako gołębie żyłam Boże,
> jako te w boru bujne zioła,
> naraz mię los tajemny woła,
> że serce w trwożnych ogniach gorze.

I z dzieci i siebie ofiarę czynić postanawia.

> by dusza gołębica biała
> z popielnych zgliszczów wstała,
> w jasności nieskończone...

Lecz tylko dzieci spłonęły na ofiarnym stosie. Ona sama, u rdzenia swego bytu podcięta, jak żywioł zniszczenia z gorejącą żagwią przeciąga przez strwożoną wieś. Biją pioruny, ogień strugami pada z nieba, dopełnia się nad wsią klątwa za krew pogwałconą. I spowiedź czyni ksiądz:

> Ja, człowiek, ojciec nieszczęsny,
> zaparłem się mojej krwie,
> dzieci mi giną w męce...
> jakichżem godzien innych kar,
> jak te, co patrzę na nie...

Krew żywa, ludzka tętni tu prawdą bytu w żywem słowie, chociaż słowo to zrasta się w kształt pogrzebanej pod gruzami czasu tragedyi. Chór stanowią ludzie wiejscy, najemni i zdaje się, że przez ich usta sama ziemia mówi i że mówią wszystkie z ziemią związane losy. Odzywa się tedy i to, co losami tymi władało od wieków — przez czasy — aż po dzień dzisiejszy. Stare wierzenia, przesąd, trwoga, konieczność chwytania każdej pomocy, gdy pomocy jest tak mało... Byleby ziemia rodziła...

Kto, jak Wyspiański, wkorzenił się w rolę i wchłonął czar z ziemi bijący i wolę

tych mocy tajemnych, które w niej drzemią, musi miłować lud.

Z iskry roznieconej w sercu *Lelewela* wyprowadza pożar wieku, narodziny nowego ducha, jego walkę o nową prawdę, byt i drogę. Z myśli proroczej i rozmarzonego serca poczęty, zgiełkiem i kurzem życia nieskalany, promienny gloryą ideału duch ten — duch szału — o walce serc marzy, wierzy we wzniosłe chęci, które unoszą. Spowity w purpurowy obłok pragnień, którym przyszłość dać dopiero ma wyraz, staje ten duch nad odmętem...

„A nad odmętem stał sam Bóg...“

. . . .

Ja szedłem do najgorszych wśród, ja tych przy- [mierzy
nie odpychałem — bo ja mogę ich wieść, ich kie- [rować
i powstrzymać w zapędzie złym—a to znaczy ofiarować
olbrzymie hekatomby ludów...

Porywa Lelewela odmętny szał nowego świata, który duszą wieszczą przeczuwa. I pod wpływem jego mowy płomiennej, proroczej, pod wpływem tego tchnienia, które jest już oddechem nowej duszy, gaśnie obłędna iskra przeżytej tradycyi i w proch się rozpada. Czartoryski zawiera z Lelewelem przymierze serc i tylko ziemski, konieczny bieg wypadków usuwa go z areny, na której odgrywa się dramat szału.

Wierzy Wyspiański w królestwo ducha, w biesiadę dusz, któremi włada wniebowzięcie. Królewskość — to w jego pojęciu „żar, co się w duszy pali,“ żar nieśmiertelny, co „przemoże śmierć i trumien głaz zdruzgoce.“

Tli się w prochach „Kazimierza Wielkiego“ i pali się w duszy „Bolesława Śmiałego“ do chwili zabójstwa. Lecz gdy się dusza skalała —

z orłów na niebie był krzyż napowietrzny,
co się nade mną chwiał na chmurach czarny,
żem poznał miecz ów mściwy, obosieczny
i wiew poczułem cmentarny;
że może znak ten *śmierci dla mnie wieczny*,
żem się *skończył ja królewski i cezarny* —

. . . .

O jakaż mnie Dola! o jakaż mnie droga
Ja w walce tknięty od Boga!
(„Bolesław Śmiały“).

Gdy pojawił się Lelewel, pisano, że przypomina Improwizacyę. Nie zdawano sobie podówczas sprawy, że ten właśnie rodzaj poezyi długie lata leżał nietknięty: więc gdy odezwał się, mniemali niektórzy, że jeszcze z Improwizacyi płynie, podczas gdy w istocie rzeczy płynął tylko ze źródeł idei i natchnienia.

Idea i natchnienie: oto co stanowi wielkość poezyi Wyspiańskiego. I oto są ogniwa, które łączą go z tradycyą wieszczów. *Żywi* się zaprzysiągł: czuje się atomem w olbrzymiej całości — synem i bratem jest. A obywatelami byli wieszcze i ojcami byli króle, *mocarze ducha*.

. . . .

Był mały, jako ludzie ciałem drobni
i przygarbiony nie wiekiem, lecz pracą;
był z tych, którzy...
gotowi się poświęcać, mając za co,
do pocałunku chylił głowę w długich lokach
z oczu mu gorzał żar — taki w prorokach.

. . . .

A to są moje łzy, których nie spatrzy
człowiek, coby się mołm łzom urągał,

. . . .

a to są moje łzy, teraz płynące
na łachman... płaszcz i kości schnące...

. . . .

A jeśli żywot mej ziemskiej niedoli
będzie przedłużon w starość późną, siwą
i rosnąć duchem Bóg słudze pozwoli
i przyjmie pracę wysługi cierpliwą;
już serce szczęścia nadmiarem wyzwoli,
a chwilę Śmierci — wyzwolin szczęśliwą
będę zwał..
(„Kazimierz Wielki“).

. . . .

Nie poddaję krytycznemu rozbiorowi utworów Wyspiańskiego. Chciałam tylko wskazać, z jakich źródeł tryska jego poezya, dokąd dąży i co ogarnia. I przytaczałam często jego własne słowa, bowiem mową, jako i nastrojem jest zjawiskiem w poezyi dni dzisiejszych odosobnionem.

Niechaj pracuje ten cichy sługa boży w pokoju i niechaj rośnie duchem!

Malwina Posner-Garfein.

SZLAKIEM MUZY.

Monachium, w sierpniu.

II. *Secesya monachijska.*

Wystawa „secesyi“ monachijskiej umieszczona w tym roku w gmachu naprzeciw gliptoteki, mianuje się oficyalnie „międzynarodową“; zagranica wszakże reprezentowaną jest ilościowo bardzo skromnie.

Z polskich nazwisk spotykamy tylko nazwisko pani Olgi Boznańskiej; „Włosi“— dwie główki rzucone na jasne tło i „Angelina.“ Szczególnie pierwsze studyum pociąga wytworną subtelnością i artystycznem ugrupowaniem; reprezentuje ono wszystkie zalety pędzla znanej artystki.

W dziale francuskim wystawiono kilka dzieł mających znaczenie retrospektywne. Jest więc przedewszystkiem maleńkie studyum Monticelli, owego rewolucyonisty, co ubrdał sobie kłaść plamy barw lokalnych jedna obok drugiej i—o zgrozo— wbrew Dawidowi, miał za nic rysunek; jest krajobraz „isola bella“ J. B. C. Corot'a. Dobrze bywa dziś zatrzymać się przed takiemi dziełami i wspominać czasy burzy i walki, lubować się tą odwagą nowatorów i... tęsknić za nowatorami. Francuzi, którzy niedopisali wogóle, zajęci zdobieniem wystawy, znaleźli kilku godnych przedstawicieli. Jest Claud Monet z dwoma krajobrazami, z których szczególnie jeden, przedstawiający stóg siana na moczarach, w oświetleniu zachodzącego słońca pociąga ku sobie nastrojem, ślicznie odczutym; aż pachną opary, unoszące się gęstymi kłębami! Jest Pissaro ze ślicznym krajobrazem jesiennym, Prinet, a dalej Brial i in. Nie są to dzieła „epokowe,“ lecz każde z nich pociąga, w każdem obok bezwarunkowego panowania nad techniką, jest kawałek duszy, każde ma nam coś do powiedzenia; nie popisy próżne w pokonywaniu trudności, lecz rzeczywiście dzieła sztuki wytrawnej. To samo można powiedzieć o dziełach Anglików. Już po setki razy na wszystkich wystawach pokazywano nam owe krajobrazy szkockie z brzozami, skąpanemi w mglistem, a przecież przezroczystem powietrzu, lecz zawsze jeszcze z lubością zatrzymujemy się przed dziełem takiego R. Macaulay Stevenson; już często rozwiązywano przed nami problemat umieszczenia szeregu białych żagli na bezmiernem tle wybrzeża morskiego, a przecież z przyjemnością przypatrujemy się znowu „Regacie na rzece Clyde“ Williama Macgregora. Uczyniono też sporo, aby znudzić widzów mniej lub więcej banalną symbolistyką, a przecież taki W. L. Bruckman zmusza nas do zatrzymania się przed „Królową próżności“: rzucił na płótno białego pawia, a z wachlarza ogona ptaka wychyla się tłum ślicznych główek kobiecych, z których każda ma dużo wyrazu i wdzięku. Z portrecistów angielskich wystąpił wspaniale George Henry; szczególniej portret damy w „Boa z piór“ trzymany cały w tonach czarnych i brązowych jest świetny. Najciekawszym wszakże z Anglików jest tym razem Edmund T. Sullivan. Wystawił on szereg rysunków piórkowych do „Sartor Resartus“ Carlyle'a, arcydzieła pod względem charakterystyki.

Z Włochów jeden tylko zasługuje na uwagę, lecz tym jednym jest — Giovani Segantini. Śliczny „Sianokos w Engadinie“ może służyć za wzór tej techniki wyrafinowanej, za pomocą której Segantini zdołał wydobywać świetlne efekty, też drga rzeczywiście powietrze pod tem niebem błękitnem i niezrównanie żywo występują postaci. Więcej może jeszcze pociąga oko ku sobie śliczna „Alegorya muzyczna“: z środkowej części tryptyku spogląda na widza natchniona twarz kompozytora, siedzącego przy fortepianie, a na bocznych skrzydłach unosi się w harmonijnym ruchu korowód taneczne.

Belgijczyk, Leempoels, wystawił dwa obrazy, charakteryzujące go doskonale. Na tle murów i dachów miejskich widnieje kilka postaci robotników, powracających z fabryki, są oni „okropnie codzienni,“ nic a nic w nich niema „malowniczości“: jeden ma na głowie najbardziej nieestetyczny kapelusz, jaki można znaleźć w tandeciarni, drugi marynarkę, która może posłużyć za wzór, jakie karykatury stwarza konfekcya fabryczna. Tak samo banalne, jak ubiory, są twarze, zwyczajne szare fizyognomie z szarego tłumu. A przecież z zestawienia tych banalności, nie upiększonych absolutnie żadną „symboliką,“ bez kuszenia się o jakąkolwiek „charakterystykę,“ wynika całość niezmiernie charakterystyczna, daleka od wszelkiej banalności: to ludzie nowocześni, w których pod powłoką codzienną kryje się cały świat namiętności poruszających nowożytne społeczeństwo.

Mistrz szwajcarski — Arnold Böcklin— wystawił mały obrazek: madonnę z dzieckiem, unoszącą się na obłokach. Po nieudatnych próbach naśladowania pre-rafaelitów, po wymuszonej „naiwności“ polegającej na umyślnem wyrzekaniu się postępów techniki malarskiej, podziwiamy u sędziwego mistrza inną, nie wymuszoną, nie naśladowaną naiwność. Stojąc przed tą „madonną,“ zapominamy, że odtworzenie naiwności jest problematem nowożytnym. Madonna ta jest naiwną, naiwną, jak legendy wielkiego ziomka Böcklina, poety z bożej łaski, Gotfrieda Kellera.

Zwróćmy się do koryfeuszów monachijskich. Stuck: z wielkiego płótna biegnie ku nam „Zbrodniarz,“ który od czasu, kiedy uciekł z obrazu Kaulbacha, gdzie był „żydem wiecznym tułaczem“ i przebiegł po płótnie Stucka, gdzie go goniły furye wywracające koziołka, dostawszy się na nowe płótno, nie zmienił jeszcze pozy; tylko jedna z furyj tym razem dla rozmaitości zabiegła naprzód, wszystkie zaś te trzy panie nigdy nie przekonają nas, że zdołają swoje ciała bez mięśni unieść w powietrze, a rzucił je do góry jakiś kaprys niewytłomaczony i tylko patrzeć, jak szpetnie przewrócą się na ziemię. Cały obraz jest niewymownie banalny i nie zawiera żadnej zalety dawniejszych prac Stucka, a tylko jest wyrazem najgorszej przywary jego — brutalności, która udaje siłę. Po za tem wystawił Stuck kilka szkiców portretowych: głowa na czerwonem tle z zielonymi cieniami, głowa na zielonem tle z czerwonymi cieniami itd., wszystko bardzo nieciekawe. Jeden portret niewątpliwie dobry, niejakiego pana Wolfa, w stroju beduina; byłoby wszystko dobrze, gdyby z tej twarzyczki bladej, z czarnym, wymuskanym wąsikiem, nie wyzierały oczy malowane manierą Stucka — oczy tylko wypukłe i szklane. Na tle portretu znanemi stylizowanemi literami widnieje napis: „Eugen Wolf—Lupus Africanus“ *). Bagatela! Kimże jest ten „wilk afrykański“? Współwłaścicielem *Berliner Tageblattu*, który odbył podróż po miastach portowych Chin, narobił tam ambarasu poselstwu

*) Wolf=lupus=wilk.

niemieckiemu, gdyż mieszał niepotrzebnie swoje trzy grosze do jakiejś chińskiej sprawy sądowej; następnie zwiedził kolonie niemieckie w Afryce i tam narobił intryżek pomiędzy urzędnikami, a opisał te awanturki w fejletonach reporterskich, stylem — no, powiedzmy, stylem *Berliner Tageblattu*. I po tem wszystkiem — *lupus africanus*.

Zły smak, płynący od sfer pałacowych w Berlinie, zalewa sztukę niemiecką i co krok spotkać się można z takiemi sztuczkami, rażącemi jak zgrzyt. Uhde, który od lat powtarza w kółko tematy przedstawiające postacie biblijne w strojach ludzi nowożytnych, tym razem wymyślił coś nowego. Odpoczynek w pracowni i modele pozujące do Świętej Rodziny prostują członki lub przypatrują się obrazowi ustawionemu na sztalugach. Malowane to poprawnie, bez zarzutu, ale — nudne.

Znana ostrokoścista pani, którą od lat już niezmiennie posyła na wystawy von Habermann, tym razem, zgodnie z ostatnią modą wiosenną, zawiesiła na szyi ciężkie boa z lisów. Zrobiła bardzo źle, gdyż fantastycznie powyginane linie jej ciała zostają w jakimś przykrym kontraście z tą ciężką płachtą futra. Wystawił wszakże Habermann inne dzieło, świadczące lepiej o jego talencie: portret matki, w którym potrafił po mistrzowsku odtworzyć subtelną i wyrazistą a dobrotliwą twarz starej arystokratki.

Śród pejzażystów znany Berlińczyk, Leistikow, dał tym razem rzecz, odznaczającą się nietylko już wyzyskaniem pięknych, łagodnych linij lasów północnych, lecz również siłą kolorytu; jego „Las sosnowy" w blaskach zachodzącego słońca jest prawdziwie piękny. Wogóle wszakże dział krajobrazów, zwykle najbardziej pociągający na wystawie secesyonistów monachijskich, tym razem przedstawia się słabo.

Z płótnem wielkich rozmiarów wystąpił znany zaszczytnie rysownik, Sascha Schneider. Dwie postacie nadnaturalnej wielkości; jedna, w szacie żółtej kroju asyryjskiego, z twarzą o rysach surowych, otoczoną rudą brodą, trzyma w ręce łuk i strzałę; druga, w habicie mnisim, trzyma wzniesiony krzyż z postacią Zbawiciela; podpis głosi: „Nierówna broń." Po twórcy „Władcy świata," „Zależności," „Anarchisty" itd. mielibyśmy prawo oczekiwać kompozycyi bardziej dosadnie tłomaczącej się; lecz mniejsza o to, gorzej jest, że koloryt twardy i niedołężny, absolutny brak perspektywy zabijają wszelkie zalety, jakie artysta posiada jako rysownik.

Nie możemy pominąć dzieł młodego, wybitnego talentu niemieckiego, Opplera, przebywającego w Londynie. Z prawdziwą rozkoszą spoczywa oko na jego płótnach. Pierwsze z nich przedstawia grupę kobiety i dziewczynki, ślicznie skomponowaną: siedzą zasłuchane w muzykę fortepianu, na którym gra w głębi salonu młody artysta. Proste to niezmiernie, dyskretne a wymowne; zdaje się słyszymy dźwięki Chopinowskiego „Impromptu," unoszące się w powietrzu. Również pięknym jest obrazek tegoż artysty: „W kuchni holenderskiej." Przez okno holenderskie wpada do ciemnego pokoju, czy kuchni, promyk światła i w półcieniu spostrzegamy staruszkę, obierającą owoce, i młodą dziewczynę o ślicznym profilu, w zadumie opartą o stół. Technika nie nowa, raczej naśladowanie maniery udoskonalonej we Francyi przez de la Gandera, lecz Oppler potrafił wyzyskać owe powierzchnie o łagodnych konturach, ginących w półmroku, do wywołania głęboko poetycznych nastrojów.

Dział rzeźby przedstawia się bardzo skromnie: Hosacus (z Berlina) dał ładną grupę — „Po bitwie"; wyczerpany walką młody wojak, oparłszy się jedną ręką o grzbiet konia, na którym siedzi, drugą popuścił cugli i koń z szyją wyciągniętą pije wodę; straszne wyczerpanie człowieka i rumaka wypowiada się w każdem wygięciu ciał. Van der Stappen, znany pobratymiec wielkiego Meunier'a, wystawił kilka biustów i statuetek z bronzu, z których jedna „człowiek idący," odznacza się dosadną charakterystyką ruchu. Najbardziej pociągają na wystawie rzeźby Maksa Klingera. Z bronzów jego zwraca uwagę śliczny akt kobiecy, rzucony na wielobarwną płytę marmurową i grupa zwinnych tancerzów. Główne miejsce wszakże należy się polichromicznemu biustowi kobiecemu. Klinger stworzył już kilka dzieł podobnych, a przedewszystkiem znaną „Salome," umieszczoną w muzeum lipskiem, a teraz po latach kilku wrócił do zadania, polegającego na utworzeniu całości barwnych rzeźb przez kombinacyę kamieni o różnych kolorach. W wystawionem obecnie dziele szatę tworzy zielonkawy syenit z żyłami czerwonemi i ciemno-niebieskiemi, biust wykuty z kararyjskiego marmuru, a czarny marmur tworzy zawój włosów; twarz i ręce zlekka zabarwione, źrenice tworzą błękitne, rżnięte kamienie. Niestety, ów czarny marmur legł na głowie ciężką strasznie, nieforemną bryłą, co sprawia, że całość czyni wrażenie bezwarunkowo chybionej próby. Niefortunnemi wydały nam się też inne rzeźby. Na wzór Michała Anioła usiłował Klinger kuć w marmurze postaci, stosując kompozycyę do formy bryły; są to więc „reliefy," umieszczone jakby w niszy, którą stanowi pierwotna bryła. Jeden z nich przedstawia Ledę w dziwnej jakiejś, skurczonej pozycyi: skurczyła się w pół i ręką wsuniętą pod udem chwyta za gardło łabędzia. Jedna część ciała jest misternie wypuszczona, inna pozostawiona w połowiczem wykończeniu. Drugi relief przedstawia postać śpiącej kobiety w podobnie skurczonej pozycyi. Przyznajemy, że odchodzimy z niesmakiem od tych prób nieestetycznych i zmanierowanych.

Naogół wystawa tegoroczna czyni na nas, o ile chodzi o sztukę niemiecką, wprost przygnębiające wrażenie. Świeżość i śmiałość cechująca pierwszych kilka wystaw „secesyjnych," znikła bezpowrotnie, i gdyby usunąć dzieła Francuzów i Anglików, popis w gmachu greckim byłby bodaj że również mało pociągającym, jak szeregi sal w „glaspalaście," gdzie panuje niepodzielnie nuda. Otrzymaliśmy wrażenie, że owi prowodyrzy „nowych zastępów," co przed kilku laty wystąpili tak hucznie, nie mają już nam nic a nic do powiedzenia.

Baltazar.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. Wł Orkan: „Komornicy."

-- H. Sienkiewicz: „Pisma" nieobjęte wydaniem zbiorowem, w pięciu tomach. Tom III (z teki Worszyłły). Należy podkreślić niezmiernie estetyczną szatę (piękny druk, w stylu zakopiańskim rysowane winietki) nowego wydawnictwa księgarni Stefana Dembego w Warszawie.

FILOZOFIA. Wł. M. Kozłowski: „Szkice filozoficzne."

LITERATURA. Konopnicka: „Rok Jubileuszowy."

ROZMAITOŚCI. Jan Kwietniewski: „Plan sytuacyjny cmentarza Powązkowskiego." Cena 5 kop. Autor pracuje nad przewodnikiem po cmentarzu i wydał tę mapkę podręczną, jako zapowiedź większej całości, która, o ile w niej szeroko zostanie uwzględniona historya, może przynieść wiele pożytku.

SZTUKA. Witkiewicz: „Album Kossaka."

PRAWO. Podlewski: „O spadkach i testamentach." Wykład popularny.

O prawdę

W nr. 38 *Prawdy* znajduje się fejleton p. t. „Qui pro quo warszawskie." Z tytułu tego należałoby wnosić, że mowa w nim będzie o jakiemś nieporozumieniu, o jakiemś pomieszaniu pojęć lub rzeczy. Tymczasem w docznie nie bardzo rozumiejący znaczenie użytych przez siebie w tytule wyrazów fejletonista wypisał się w nim o zarzutach, uczynionych przez niżej podpisanych ukrytemu pod pseudonimem „Towarzysz broni" autorowi broszury p. t. „Metodyka badań starożytniczych."

Nie było tu żadnego „qui pro quo." Sytuacya przedstawia się całkiem jasno. „Towarzysz broni" ogłosił szereg aforyzmów, które nam wydały się w znacznej części bezzasadnymi i traktującymi sprawy naukowe w niewłaściwy dla nich sposób fejletonowy. Temu naszemu poglądowi krytycznemu daliśmy wyraz w ogłoszonym w *Wiśle* artykule p. t. „Metodyka aforystyczna." Gdzież tu „qui pro quo"?

Ale zresztą mniejsza o tytuł fejletonu. Fejletonista *Prawdy* powiada, że „są szczegóły, które w odpowiedzi zbiorowej go oburzyły.". Szczegóły te jednak nie dotyczą treści uczynionych przez nas zarzutów — o tej niema w całym fejletonie ani najkrótszej wzmianki. Fejletonistę oburza w naszej odpowiedzi „naprzód ton jakiś osobliwy a wcale nieprzystojny," następnie zaś to, że tacy nędzarze umysłowi, jak niżej podpisani, ośmielają się krytykować uczonego tak znakomitego, jak „Towarzysz broni." Otóż naprzód co do tonu: ktokolwiek przeczyta aforyzmy „Towarzysza broni," naszą odpowiedź i fejleton *Prawdy*, dostrzeże odrazu, że ton naszej odpowiedzi nie jest ani o włos ostrzejszym od tonu, użytego przez „Towarzysza broni," a o całe niebo przyzwoitszym o tego, którym się posługuje fejletonista *Prawdy*, bo my trzymaliśmy się ściśle granic rzeczowości, a jedyna uwaga, dotycząca nie samych aforyzmów, lecz ich autora, zawierała się w słowach, że „jest on człowiekiem rozumnym i poważnym uczonym, a nadto i człowiekiem dowcipnym." „Towarzyszowi broni" fejletonista poczytuje za zasługę, że pisze on „bez dygania i innych oznak czołobitności, właściwych naucc warszawskiej." Nam brak dygania i innych oznak czołobitności wytyka jako ciężki grzech. Konsekwencya wzorowa, nieprawdaż?

Drugim powodem oburzenia fejletonisty są nasze mizerne kwalifikacye naukowe. Jeden z nas (Majewski) jest „typowym uczonym fejletonowym," drugi (Massonius) „wieloletnim filozofem in spe," tj. takim, który w nauce, ani dla nauki nic nie zrobił. Ten ostatni przyznaje odrazu, nietylko że w samej rzeczy nic dla nauki nie zrobił, ale że dopiero z fejletonu *Prawdy* po raz pierwszy i ze zdziwieniem dowiedział się, że ktoś pokłada w nim jakieś nadzieje. W każdym razie odpowiedzialności za te nadzieje przyjąć na siebie nie może, bo wogóle nikt nie odpowiada za to, co inni myślą, on zaś sam spodziewa się od siebie bardzo niewiele. Ale choćbyśmy obaj byli jeszcze lichszymi, niż się fejletoniście *Prawdy* wydaje, autor zaś, którego fejletonista wziął w obronę — uczonym jeszcze znakomitszym, niż jest w samej rzeczy, to jeszczeby stąd na żaden sposób nie wynikło, ani że „Towarzysz broni" ma słuszność, ani że my jej nie mamy, ani że nam aforyzmów „Towarzysza broni" krytykować nie wolno. Krytyce można zarzucać tylko albo to, że jest niesłuszną, albo to, że jest rzeczową. Fejletonista *Prawdy* nie zarzuca nam ani jednego, ani drugiego. Czynić zaś, jak fejletonista *Prawdy*, krytyce zarzutu z tego, że jej autor jest małym człowiekiem — jest wprost komicznem. Jeżeli wielki człowiek powiada, że dwa razy dwa jest pięć, a mały, że cztery — to racyę ma nie wielki, lecz mały człowiek.

Bardzo być może, że pobłądziliśmy w naszej replice przeciw wywodom „Towarzysza broni." Do nieomylności nie mamy najmniejszej pretensyi. Pisaliśmy szczerze to, co nam się prawdą wydawało i do tej chwili wydaje. Jeżeliśmy, co się każdemu snadnie przytrafić może, pobłądzili, to w interesie zarówno prawdy, jak i naszym,

leży błędów tych ujawnienie. Niechże je fejletonista *Prawdy*, jeżeli jest człowiekiem na seryo, ujawni. Niech wykaże za pomocą dowodów rzeczowych bezzasadność tego, cośmy napisali. Tylko taka polemika może mieć wartość naukową — i moralną. Jeżeli zaś chodzi mu nie o obronę prawdy, lecz o wypowiedzenie kilku zdań, które za przykre dla nas uważa—to niech mówi zdrów. Będzie to wprawdzie brzydka zabawa, ale każdemu wolno wybierać sobie zabawy stosowne do swojej miary moralnej i estetycznej.

Erazm Majewski.
Marjan Massonius.

Do odpowiedzi pp. E. Majewskiego i M. Massoniusa winniśmy dodać parę uwag:

1) Nikomu nie odmawiamy prawa dyskusyi. O aforyzmach „Towarzysza broni" pisaliśmy w fejletonie: „Odpowiedzi, jako takiej, nie w zasadzie zarzucić nie możemy; kto na bój wychodzi, musi być przygotowany na pociski."

2) O zarzuty obu panów bynajmniej nie chodziło, tj. o ich stronę rzeczową. Pisaliśmy wyraźnie: „Nie chcę bynajmniej twierdzić, ażeby obaj panowie nie mieli miejscami *słuszności*."

3) Punkt ciężkości naszego fejletonu został w odpowiedzi pp. E. Majewskiego i M. Massoniusa przeniesiony niewłaściwie. Tkwił on właśnie w tem *qui pro quo*, iż pierwszy z tych panów, „typowy uczony fejletonowy ośmiela się rzucać w oczy sumiennemu badaczowi obelgę, że jego przyczynek, to śmiały krok w kierunku sfejletonizowania nauki." Dlatego dodaliśmy w końcu radę: „Jeśli często tak grzeszyłeś, to nie bądź zbyt okrutnym dla bezimiennego uczonego, który po wielu latach prawdziwej nauki dał w przystępie dobrego humoru parę zręcznych aforyzmów."

4) Istnieje różnica w tonie „aforyzmów" a ich chłosty przez obu panów, różnica, którą wielu spostrzegło, a my daliśmy jedynie głos tym wynurzeniom. Braku dygania również nikomu nie wytykam jako winy. Owszem, pragnąłbym bardzo, ażeby owa wada stała się przymiotem wszystkich prac naukowych i nienaukowych w naszem piśmiennictwie, byłoby wtedy mniej blagi i tolerancyi błędów, plagiatów i półplagiatów, a więcej nauki i sumienności.

W DALI.

Petersburg. *Siew. Kurjer* zamieścił w nr. 279 artykuł następujący: „Ogłoszone zostały w „Zbiorze praw i rozporządzeń" przepisy o pomocniku warszawskiego Generał-Gubernatora w części policyjnej, mające zastąpić zasadnicze punkty organizacyi wydziału śledczego do spraw politycznych, obowiązującej w myśl rozkazu Najwyższego z d. 6 lipca 1896 r.: Z mocy nowych przepisów kancelarya specyalna przy Generał-Gubernatorze warszawskim zostaje zniesioną, a zamiast niej powstaje przy kancelaryi warszawskiego oberpolicmajstra wydział ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego, przyczem minister spraw wewnętrznych ma prawo zatwierdzania tymczasowego etatu tego wydziału, według etatu takiegoż wydziału istniejącego w Moskwie. Pomocnik warszawskiego Generał-Gubernatora w wydziale policyjnym, wobec specyalnych wkładanych nań obowiązków, pozostaje w specyalnym korpusie żandarmów. Zgodnie z ustawą, pomocnik Generał-Gubernatora między innemi zaświadcza i przedstawia komendantowi oddzielnego korpusu żandarmów do nagrody podwładnych mu naczelników oddzielnych zarządów żandarmskich. O naczelnikach, którzy zasługują na specyalne wyróżnienie przez nagrody, donosi się i w tych razach, gdy na osoby te nie rozciągają się istniejące przepisy o wydawaniu nagród: ogłasza generałom uwagi i wymówki osobiście i piśmiennie, skazuje sztab i ober-oficerów oraz urzędników cywilnych na areszt domowy i na odwach: oficerów sztabu do 20 dni, ober oficerów do 1 miesiąca. Na pomocniku Generał-Gubernatora ciąży dalej obowiązek kierowania działalnością wszystkich, znajdujących się w kraju urzędników gubernialnych i powiatowych zarządów żandarmskich oraz ich etatu dodatkowego, zarządów żandarmskich dróg żelaznych i policyi osobnej, w zakresie uprzedzania i prowadzenia śledztwa we wszystkich przestępstwach politycznych i wszelkich objawach o charakterze politycznym, przyczem wskazówki jego w tych sprawach, dawane wymienionym osobom i instytucyom, są obowiązującemi i mają być wykonywane natychmiast. Pomocnik Generał-Gubernatora warszawskiego przestrzega, zgodnie z przepisami, przetrzymywania w więzieniach, znajdujących się w kraju, osób oskarżonych o przestępstwa polityczne. Co do pawilonu X-go cytadeli Aleksandryjskiej w twierdzy warszawskiej, to posiada on bezpośredni nadzór i prawo rozkazywania służbie wewnętrznej urzędników żandarmskich. Jemu też powierza się wzmacnianie chwilowe, w wypadkach nadzwyczajnych, personelu oficerskiego jednego z gubernialnych urzędów żandarmskich na rzecz drugiego, a w razie braku sił miejscowych ucieka się do pomocy pozostających przy jego kancelaryi oficerów żandarmskich. Porządek mianowania pomocnika warszawskiego Generał-Gubernatora w wydziale policyjnym różni się od przepisów zwykłych: mianowany i zwalniany jest na mocy rozkazu Najwyższego i ukazem senatu rządzącego, na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych, za zgodą warszawskiego Generał-Gubernatora, a po porozumieniu się z ministrem wojny. Będąc, stosownie do zajmowanego stanowiska, pod bezpośrednią władzą naczelnika kraju, pomocnik Generał Gubernatora pomimo to, w zakresie służby szeregowej i dyscypliny, pozostaje pod rozkazami specyalnego komendanta korpusu żandarmów — pomocnika szefa."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Świeżo ogłoszona statystyka szkół technicznych w Niemczech zawiera nader ciekawe cyfry. I tak, techniki liczą obecnie 11 tysięcy słuchaczy (najwięcej Berlin—Charlottenburg 2,700, najmniej Brunświk 304). Trzecia część tej liczby (około 4 tys.) studyuje maszyno - budownictwo, do czego na niektórych technikach zaliczają i elektrotechnikę; budowniczych wypada około 2,000, poczem dopiero idą chemicy (1,017) — cyfry te dowodzą, jakie pola są jeszcze dość dostępne dla młodzieży. Mała cyfra chemików świadczy, że na tym zagonie panuje przepełnienie. — Pod względem narodowości statystyka wykazuje 1,700 cudzoziemców (17%), co świadczy o specyalnem umiłowaniu politechnik niemieckich przez młodzież obcokrajową (Uniwersytety niem. liczą tylko 7% cudz.).

— W Berlinie za przykładem zeszłego roku znów mówią o ruchu śród służących. Na zgromadzeniu publicznem dr. Stillich zdawał sprawę o ankiecie, jaką przeprowadził, a która słaby tylko dała rezultat ze względu na opór pracodawców. Redaktor Gerlach (narodowo-społeczny) domagał się organizacyi służących, jako jedynego środka, któryby umożliwił przeprowadzenie ich życzeń. Zgromadzenie zgodziło się na taką rezolucyę. — Obecnie istnieją w Berlinie dwa stowarzyszenia: „Verein für Dienstherrschaften und Dienstangestellte," które stoi na gruncie pojednania „państwa i służących" i „Hülfsverein für weibliches Hauspersonal," które prowadzi propagandę walki o lepsze prawa.

— We Wrocławiu stowarzyszenie przeciwżebracze otworzyło „izbę do pisania," tj. urządziło obszerny i widny pokój, w którym ustawiono stół podzielony na 12 miejsc. Przeznaczono tę instytucyę dla ludzi pozbawionych stałej pracy i chwytających się przypadkowego zarobku, jako to kupców, pisarzy, urzędników i rzemieślników, którzy w braku czego innego zajmują się przepisywaniem, pisaniem adresów, katalogów, cenników, układaniem rachunków itd. Wykonanie tych robót odbywa się pod dozorem stałego komitetu. „Izba" otwarta jest codziennie od 8—1 i 3—7 pp. Zarząd miasta ofiarował zasiłek roczny w ilości 2,000 marek.

Kolonizacya amerykańska. Stany Zjednoczone zamierzają „zamerykanizować" Kubę przy pomocy szkoły. Rząd amerykański sprowadził tego lata 1,100 nauczycielek ludowych z Kuby, urządził dla nich kurs języka angielskiego w Cambridge (Mass) a następnie inny jeszcze kurs „nauki o rzeczach," mianowicie umożliwił im zwiedzenie główniejszych miast amerykańskich. Wycieczka ta trwała kilka tygodni, koszty opłacono z zasiłku uniwersytetu w Harward oraz wielu osób prywatnych. — Inny znowu amerykanin, Jencke, pedagog z Indianopolis, założył szkołę amerykańską dla dziewcząt w Honduras w mieście Santa Cruz de Yojoa. Rząd amerykański ofiarował połowę kosztów, jakie pochłonie dom szkolny. W ten sposób w Ameryce środkowej zrywają z tradycyami odziedziczonemi po Hiszpanach. Jak piszą do *Frank. Zg.*, angielszczyzna robi w Ameryce środkowej szalone postępy. — Pewien dziennik londyński zamieścił wiadomość, że wojna, jaką od 2 lat Stany prowadzą z Filipinami pochłonęła już życie 4,000 żołnierzy amerykańskich i wymaga armii okupacyjnej w ilości 65 tysięcy ludzi. Mimo to dotychczas zajęli oni tylko Manilę i jej najbliższe okolice. Partyzantka trwa bez przerwy; Aguinaldo działa zupełnie swobodnie: ludność jest po stronie powstańców. Strategicy amerykańscy twierdzą, że stan taki może trwać lata całe, że trzeba 500 tysięcznej armii i całego szeregu lat, aby wyspą ostatecznie zawładnąć.

Nauka uniwersytecka. Prócz wykładów prof. Baudouina de Courtenay, o których pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, wykładane będą jeszcze w uniwersytecie petersburskim w najbliższym semestrze pp. Witold Nowodworski (Średniowieczna historya Polski), St. Ptaszycki (Literatura polska XIX wieku, Literatura polityczna polska w XV i XVI stuleciu; Najdawniejsze pomniki prawne polskie), i Jan Łoś (Historyczna gramatyka języka polskiego).

Ruch kobiecy. W Wiedniu od lat 10 istnieje stowarzyszenie stenografek im. Gabelsbergera, do którego należy 1,500 kobiet.

— W ostatnich kilku tygodniach 26 kobiet otrzymało stopień lekarzy w szkole medycznej Pensylwanii. Pochodzą z 10 stanów Ameryk., z Chin i ze Szwecyi.

— W pewnej cukrowni austryackiej (Camburg) pracują w laboratoryum chemicznem dwie kobiety.

— W Kanzas (Ameryka) zawiązały kobiety (100) stowarzyszenie, mające na celu obejmowanie żniwa fermerów. Brak tam powszechnie męzkiej usługi po fermach.

— W Ameryce działa już drugi rok t. zw. „Fresh air comittee" (komitet świeżego powietrza), tj. stowarzyszenie filantropek, które stara się organizować latem wycieczki za miasto dla matek i dzieci niezamożnych. W pierwszym roku w taki sposób wyjechało na wycieczkę 1-dniową 1,550 matek i ich dzieci. Po za tem komitet urządził willę w Pelham Bay Park, gdzie dzieci bawią dwa tygodnie na świeżem powietrzu. Zakład urządzony został na 100 dzieci; przez lato korzysta z niego 600—700 dziatek.

— Signora Lydia Poët, dr. prawa, której odmówiono prawa pełnienia obowiązków adwokata, wzięła udział w obradach kongresu karnego w Brukselli. Poruczono jej w drugiej sekcyi wygotowanie referatu ogólnego w sprawie wydawania przestępców.

— Katedrę archeologii klasycznej w Newnhem College w Cambridge ma otrzymać pani Harrison.

— Istnieje projekt otworzenia dla kobiet podwojów uniwersytetu w Tomsku (Syberya). Ilość studentów jest tam nader niewielka: 1 stycznia było tylko 70 medyków i 107 prawników.

Sprawy ekonomiczne. Amerykańskie ministeryum pracy ogłosiło tablicę porównawczą produkcyi przemysłowej, według której mają to ostatnią charakteryzować następujące cyfry: Stany Zjednoczone 7,000 mil. dolarów, W. Brytania 4,100 mil., Niemcy 2,915, Francya 2,245 m., Rosya 1,815 m., Austro-Węgry 1,625 m., Włochy 605 m., Belgia 510 m., Hiszpania 425 m., Szwajcarya 160 mil. dolarów. Przewagę po stronie Ameryki objaśniają większą wydajnością pracy robotnika, lepszemi metodami pracy i bardziej intensywną pracę maszyn. Pod względem motorów liczą Stany Zjednoczone 18 mil sił koni, W. Brytania 12, Niemcy 9, Francya 5, Austro-Węgry i Rosya po $2\frac{1}{2}$, Belgia 1 milion

Czy cyfry powyższe bezwzględnie wiarogodne — nie wierzę. Przypomnieć należy, że Amerykanie chcieliby swój przemysł przedstawić w wyjątkowo dobrem świetle.

Rozmaitości. Każdy z nas coś kiedyś zbierał. Jeden fotografie, drugi sztychy, trzeci karty pocztowe ilustrowane, czwarty książki. Każdy człowiek jest kolekcyonistą. Wielu z nas zbierało za młodu marki pocztowe. Zbierało się owe znaczki na setki i tysiące, poczem gdzieś się i one zapodziały i nasze dla nich sympatye. Tymczasem są ludzie na świecie, którzy są zbieraczami marek „z urodzenia,“ z zawodu. Podobno jest to nawet wcale intratny zawód. W Paryżu, na polach Elizejskich naprzeciwko pałacu prezydenta republiki, zbiera się codziennie po obiedzie „giełda“ tych specyalistów. Schodzi się około 100 osób (mężczyzn i kobiet), każda z torebką, pudełkiem albo albumem — i dokonywa tranzakcyj. Ci ludzie podobno utrzymują się z tych „obrotów.“ Przed kilku laty wiele wrzawy narobiła zbrodnia, dokonana na osobie pewnego Paryżanina; zbrodnia popełniona w celu rabunku: ofiara posiadała album marek, wartujący 15 tysięcy franków.—Obecnie wszyscy filateliści świata zjechali się do Paryża na kongres międzynarodowy; urządzono na ich cześć różnorakie przedstawienia galowe, prezesów przyjmował prezydent i ministrowie, otrzymali różne ordery — traktują ich najzupełniej poważnie. Z okazyi kongresu otworzono też wystawę marek. Co za przepych! Pojęcie o wartości da ten chociażby szczegół, że ubezpieczono ją od pożaru na $1^1/_2$ miliona franków! Najrzadszą marką na wystawie jest znaczek pocztowy z wyspy Mauritius (1847), który istnieje dziś tylko w 19 egzemplarzach, a każdy kosztuje 26,000 franków. Niejaki **Paweł Miraband** wystawił zbiór marek szwajcarskich 1844—1852, który oceniono na 250 tysięcy franków. Całkowity zbiór tego szczęśliwca oceniają na 2 miliony, ale to nic jeszcze w porównaniu z kolekcyą p. La Renotière-Ferrary, oszacowaną na 7 mil. franków! Jest to największy zbiór na świecie; jego właściciel został obwołany jako „niedościgniony“ — i nawet książę Walii i baron Rotszyld, obaj gorliwi filateliści, giną wobec niego w zupełnym cieniu.

— Powracający z podróży do bieguna północnego ks. Abruzzów był przedmiotem gorącej owacyi studentów norweskich w Chrystyanii. Słynny Nansen wygłosił pełną zapału mowę powitalną w języku angielskim, w której chwalił księcia włoskiego, że wznowił tradycye Marka Polo i Kolumba, a jednocześnie dał dowód, że i w tym „końcu stulecia“ można zdobywać wawrzyny nie w krwawych wyprawach zaborczych.

— Z dzienników wiadomo już czytelnikom, że w Texas (Amer. Półn.) szalał 8 września orkan (od 5 po południu do północy) Miasto, które zniszczył, Galveston. leży na wyspie u wejścia do zatoki tegoż imienia; założone w r. 1835, liczyło 1850 r. 4,177 mieszkańców, a w 1890 już 30 tysięcy. Straty w ludziach obliczają na 10 tysięcy; materyalne na 45 milionów dolarów. Zresztą cyfry te są tylko przypuszczalne.

Zmarli. Edward Albert, słynny chirurg wiedeński, syn chłopa czeskiego i patryota nader umiarkowany czeski, członek Izby panów, poeta, tłomacz poetów czeskich na język niemiecki (4 tomy Antologii), zm. w Czachach (59 lat).

— Lawes, Sir John Bennet, największy znawca i krzewiciel chemii rolnej, założyciel pierwszej w świecie (1842) stacyi doświadczalnej w Rothamsted, autor licznych monografij drukowanych w „Journal of the Royal Agriculturae Societs,“ zm. w Londynie (86 lat).

Odpowiedzi Redakcyi.

„Chętnej z prowincyi“ w Płocku. Jedną tylko służyć możemy radą: należy uczyć się według wskazówek zawartych w „Poradniku dla Samouków“ (dotychczas 3 tomy).

Panu E. Nie.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Сентября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.